Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

# Moje Powieści

## ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII | Niedziela, dnia 5 marca 1939 r. | Nr. 10



Fot. Wanda Kasperlikowa — Mysłowice. Zdjęcie wyróżnione na konkursie krajoznawczym „Mojej Przyj."

*Młodziutka cieszynianka*

WITOLD ZECHENTER

10)

# Avaxara

POWIEŚĆ

A detektyw Robert-Robert stał — i patrzał — i patrzał — i nie rozumiał nic — tylko to jedno, że ci czterej mężczyźni usiłowali wrócić do powagi, co im się zupełnie nie udawało, że oni są bardzo mili, bardzo sympatyczni — i że ich śmiech jest bardzo zaraźliwy...

Nie! To jest niemożliwe! to niedopuszczalne! Oni ryczą jak ze świetnego kawału — ale on, detektyw Robert — Robert, on nie zna tego kawału i uważa ten kawał za zbrodnię — nie, to za poważne określenie — za występek — za — wszystko jedno, za co — ale ten ich serdeczny śmiech.

Naprzód rozlała się po twarzy detektywa pogoda. Znikł chłód, oburzenie, gniew. To nie byli już ludzie, których ścigał za występki — to byli dobrzy ludzie, którzy się wili w serdecznym śmiechu. Potem wargi detektywa zaczęły drgać — potem błysnęły zęby — potem wystąpiły zmarszczki pod oczyma.

I śmiał się...

Śmiał się jak oni...

A oni widząc, że się śmieje, śmiali się dalej — i jeszcze — i jeszcze — aż do ostatka sił...

Pierwszy uspokoił się pan Riderot junior. Wstał, zatoczył się i wyszedł. Wrócił zaraz z kieliszkiem, który postawił przed detektywem. Potem zaczął odkręcać drut, krępujący nową butelkę „Asti". Strzelił korek. Biała piana wylała się szumiąc do kieliszków...

— Panowie! — rzekł pan Devadatte, ocierając łzy po raz czterdziesty siódmy. — Pijemy zdrowie.

— Detektywa Robert — Robert — zawołano chórem.

I wypili jego zdrowie.

— A teraz zdrowie „AVAXARY" i — zawołał pan Véry.

I wypili zdrowie „AVAXARY" — i detektyw wypił też zdrowie „AVAXARY"...

— Panowie! — rzekł. — Wszystko dobrze. Życie jest piękne i interesujące. Ale, na miłość boską, wytłumaczcież mi, co to, czy kto to jest ta „AVAXARA"?

— To jest środek na porost włosów — rzekł uprzejmie pan Riderot senior.

Detektyw musiał zrobić bardzo dziwną minę, bo znów wszyscy panowie okazali inklinacje do śmiechu — tylko, że nie mieli już sił śmiać się.

— Środek na porost włosów?...

— Tak.

Detektyw przymrużył oczy. Trzeba cicho i spokojnie czekać — a wszystko się wyjaśni...

— Opowiem panu wszystko — rzekł pan Riderot starszy. — A było to tak. Brat mój i ja zrobiliśmy dużo pieniędzy na kosmetykach. Postanowiliśmy wyspecjalizować się w jednym kierunku. Brat mój wynalazł cudowny preparat na porost włosów — nazwaliśmy go „AVAXARA" — dlaczego? bo to ładnie brzmi. Reklama jest dźwignią handlu i przemysłu — musi też być dźwignią „AVAXARY". Toteż postanowiliśmy zareklamować nasz preparat w sposób nadzwyczaj oryginalny i wprowadzić go na rynek z taką wrzawą, by utrzymał się na nim stale i dał nam dochody. Na ten cel przeznaczyliśmy pewne znaczne sumy. Cóż — gdy brakło nam jednej rzeczy... Pomysłu! Pomysłu na nadzwyczajną reklamę naszego nadzwyczajnego środka! Co robić! Po długich namyślaniach się uciekliśmy się do samej reklamy... Daliśmy ogłoszenie w kilku dziennikach paryskich.

Pan Véry wyjął portfel i położył przed detektywem wycinek z gazety.

— Oto ono — rzekł pan Riderot starszy..

Detektyw przeczytał:

GOTOWI JESTEŚMY ZAPŁACIĆ

DUŻĄ SUMĘ

TEMU

KTO

PODA NAM PLAN NOWEGO SPOSOBU ZAREKLAMOWANIA DOSKONAŁEGO ŚRODKA

NA

POROST WŁOSÓW

Paryż 11, rue du Havre



Odznaką pułkową strzelców ardeńskich we Francji jest głowa olbrzymiego odyńca

— Przeczytałem to ogłoszenie — rzekł pan Véry — pewnego wieczora, gdy wskutek rozmaitych spraw stałem na granicy nędzy — i gorzej, niż nędzy. „Dużą sumę" — przeczytałem. I przyjechałem tu — do panów Riderot...

— Mniejsza z tym — zaczął znów pan Riderot senior — jakie umówiliśmy warunki. Dość na tym, że na drugi dzień po swej tu wizycie pan Véry przyszedł z nadzwyczajnym pomysłem: reklama, jakiej jeszcze nie było! Jakiż to był pomysł? Są w mieście ludzie znani i popularni. Ludzie ci są łysi.

— Aaa! — detektyw zrozumiał. Więc ta jedna cecha wspólna łącząca porwanych, to była jednak łysina!

— Rozumie pan? co? — spytał dyrektor Devadatte.

— Pan Véry poddał projekt: porwiemy w sposób tajemniczy kilka takich jednostek popularnych a łysych — porwiemy je jak bandyci — uśpimy, by nic nie wiedzieli i posmarujemy ich czcigodne łysiny naszą „AVAXARĄ" — potem odstawimy je w zdrowiu do ich domów. I gdy całe miasto będzie podekscytowane, gdy policja będzie śledzić, gdy wszyscy będą mówili o tajemniczych porwaniach — my ogłosimy: „Jutro dowiecie się, dlaczego..." — i na drugi dzień ogłosimy: „Jedyny, najlepszy, gigantyczny środek na porost włosów —

„AVAXARA".

Po jednorazowym natarciu łysiny wyrasta młode, piękne, bujne, gęste owłosienie o cudownym zapachu i z denerwującym połyskiem w przeciągu miesiąca od dnia zabiegu. Nie wierzycie? Idźcie więc i poinformujcie się u panów —"

Tych panów — zakończył — których porwaliśmy.

Detektyw siedział oniemiały i ogłupiały... Oto rozwiązanie...

Dla reklamy!

„AVAXARA"!

Środek na porost włosów!

— Pan Véry — zaczął na odmianę pan Riderot junior — podał nam nazwiska znanych w mieście osób: posła de Ronet, dyrektora Lafettal, przemysłowca Dra Gruenbauma — i koniecznie popularnego w Quartier Latin starego kelnera „Café de la Sorbone", pana Ramona, do



Lambeth-walk — nowy taniec opanował świat. — Bal Politechniki w Paryżu.

którego pan Véry odczuwa coś w rodzaju pietyzmu, jego to bowiem łysina błyszczała owego wieczora przed oczyma zasmuconego pana Véry, jak przepowiednia triumfu!

Detektyw ukrył twarz w dłoniach i słuchał w milczeniu.

— Porywaliśmy więc — zaczął Véry — porywaliśmy naiwnie i dziecinnie i dlatego pan nas nie złapał, panie Robert-Robert. Porywaliśmy jak dzieci, nie jak zbrodniarze. Tylko jedno: byliśmy sprytni. Wykorzystaliśmy mowę posła de Ronet „Precz z komunizmem!", by zaprosić go do „C a f é d e l a P a i x" na oblanie triumfu. Kto go miał zaprosić? Oczywiście ci oddani koledzy klubowi, którzy bronili go przy wyjściu z C h a m b r e d e s D e p u t é s, a których nazwiska znaliśmy ze sprawozdań dzienników wieczorowych — panowie Mareau, Croix-Lav, Rachet i Vernon. Trzeba panu wiedzieć, że ja aranżuję wszystko — ja siedzę też w głębi auta, a pan Riderot junior jest szoferem — początkowo, jak i ja, z długą, czarną brodą. Odwozimy posła pod dom — nie pod sam dom, bo przed domem jego stoją dwa auta, a w jednem z nich siedzi szofer. Są to auta policyjne, bo zdołaliśmy sobie zapewnić drugi łup natychmiastowy — dyrektora Lafettal, telefonując jako poseł Vernon do pani de Ronet, by koniecznie zawezwała do siebie samego dyrektora. Łatwo dowiadujemy się od szofera auta dyrektora, że i pan jest na górze — w ten sposób wiemy, kto z nami będzie walczył. Dyrektora trzeba porwać natychmiast, bo potem nie zdołamy tego dokonać. Upewniwszy się — by rozpoznać po ciemku — że dyrektor musi basem, usypiamy szofera papierosem, wchodzimy do sieni— bramę zostawiamy otwartą — wykręcamy stopkę, — i robimy egipską ciemność. Porywamy dyrektora — ot tak, pan wie — jak dzieci, naiwnie i bez namysłu — i zmykamy. Sadzamy go potem na napoleońskich schodach, telefonując po pana, by go zabrał — tu dodam, że telefonami zajmował się pan Riderot senior — on informował prasę, on był posłem Vernon, posłem Croix-Laval, kierownikiem biura Dra Gruenbauma panem Thouvelle — ba, nawet panem, panie Robert-Robert. Odwożąc dyrektora Lafettal zmieniamy numer naszego auta i odklejamy brody — minimum ostrożności! Potem — rano — porwanie kelnera Ramon, które mi się udało tylko dlatego, że dokonałem go w oczach pańskich! — znałem pana z fotografii — tak, tylko dlatego! To było coś, co by zaskoczyło samego Sherlocka Holmesa, samego Arsena Lupina! Wreszcie porwanie Dra Gruenbauma, przy odwiezieniu którego o mało co nas nie przyłapano. Prasa jest zawiadomiona — robi się ruch — robi się wrzawa. Zainteresowanie! Sensacja! Ale czemu — pytają się wszyscy — porwani wracają? I to wracają, dodać muszę, w coraz szybszych odstępach czasu, bośmy się już wyćwiczyli w „zbrodni" — w porywaniu, kluczeniu po mieście, usypianiu, wjeżdżaniu i wyjeżdżaniu z bramy tego domu — we wszystkiem! Otóż trzeba tak zrobić, żeby jeden nie wrócił!

Przerwał i przełknął łyk wina.

— Namawiam go — zgadza się wreszcie — i oto dyrektor Devadatte, piąta ofiara, nie wraca! Co za poruszenie w prasie! Co za sensacja! O czym mówi cały Paryż! Tylko o tym! I w ten wir roztopionej, namiętnej ciekawości rzucamy ogłoszenie: „Jutro! Jutro dowiecie się prawdy! Jutro dowiecie się, dlaczego zostali uprowadzeni panowie..."

Skończył.

Nastała cisza.

Detektyw podniósł głowę i rzekł w końcu:

— To jest świetne! To jest genialne — z punktu widzenia reklamy. Na „A V A X A R Z E" zrobicie panowie miliony. Ale czy wiecie, że z punktu widzenia karnego...

— Wiemy — rzekł Véry.

— I to podwójnie!

— Jakto?

— Za sam fakt uprowadzenia — i za namaszczenie łysin! To jest wdzieranie się w prawa jednostki! Gwałt!

— Tak — rzekł Véry. — Wiem. Jeśli zasądzą mnie na grzywnę — zapłaci „A V A X A R A". Jeśli na więzienie — przesiedzę się.

— Ale dlaczego pan przestał pracować w „B a n q u e d e..."

Dyrektor Devadatte podniósł rękę:

— To rzecz tylko w cztery oczy: między mną a panem Véry!

— Tak, wiem — rzekł detektyw — te dwie rozmowy...

— To rzecz, która nie będzie przedmiotem rozprawy sądowej — rzekł pan Véry — chociaż, gdyby nie „A V A X A R A" —

— Ale — przerwał dyrektor — jak pan jednak wpadł na nasz trop! W jaki sposób? To nie było łatwe!

Detektyw uśmiechnął się na zręczne pochlebstwo i opowiedział dzieje swego śledztwa.

— Nie ujmujemy panu jego zasługi — rzekł pan Riderot. senior. — Prasa dowie się o pańskiej wizycie u nas.

Detektyw wykonał obojętny gest ręką — ale w sercu zrobiło mu się ciepło.

— Tak — rzekł mimo woli — to nie było łatwe!

— O, nie! — przyświadczył pan Véry. — Tylko jeden warunek — dodał — panie Robert! Milczenie do godziny dwunastej! Prawda?

— No tak...

— Raz jeszcze zdrowie pana Robert-Robert!

Pili jeszcze niejedno zdrowie i śmiali się jeszcze serdecznie, aż o godzinie pierwszej w nocy odprowadzili detektywa i dyrektora na dół.



**Mistrz Polski w jeździe szybkiej na lodzie, Janusz Kalbarczyk.**



**W 30 rocznicę tragicznej śmierci świetnego kompozytora Mieczysława Karłowicza, który zginął jako ofiara lawiny w Tatrach, złożono wieńce na jego grobie**

— Mam tu auto — rzekł detektyw — odwiozę dyrektora.

— Ależ my mamy przecież naszego Buicka!

— Zostawcie go w spokoju do jutra. Mogliby was czepiać — rzekł detektyw Robert-Robert — sam wydałem to rozporządzenie.

## EPILOG

„AVAXARA" — „AVAXARA" — „AVAXARA"!

Na wszystkich ustach to jedno słowo! Takiej sensacji Paryż jeszcze nie przeżywał!

Więc to była reklama!

Więc to była reklama środka na porost włosów!

„AVAXARA" — „AVAXARA" — „AVAXARA"!

Z pięciu porwanych jeden — dyrektor Devadatte — zdeklarował dobrowolne udanie się za panem Véry. Trzech — to znaczy poseł de Ronet, Dr. Gruenbaum i kelner Ramon — zdeklarowali, że nie wnoszą skargi i nie będą występowali przeciw panu Véry i panom Riderot.

Jeden tylko pozostał nieprzejednany: dyrektor policji śledczej, Lafettal.

Dyrektora policji śledczej nie wolno porywać! Dyrektorowi policji śledczej nie wolno zapuszczać włosów.

Naznaczono termin procesu. Zanim nadszedł, bracia Riderot zrobili miliony na „AVAXARZE", o której dowiedział się cały świat i uznali zaliczkę, daną panu Véry, jako dodatkowe honorarium. Pozatem wypłacili mu 12000 franków, jako pierwszą gażę miesięczną.

A zanim nadszedł termin procesu dyrektor policji śledczej Lafettal patrząc do lustra odczuwał, że topnieje w nim złość i oburzenie...

Patrzał na swe rodzące się włosy i delikatnie pieścił je drżącymi palcami...

Jakiegoż innego wyrazu nabierała jego twarz, gdy nie świeciła nad nią łysina!

Jakie rozkosze czekają go jeszcze! Czesanie tych włosów... szczotkowanie... Może da je sobie zaprasować żelazkiem u fryzjera jak za dawnych, dobrych lat młodości... Tak, ale jeszcze nie wnet, za parę miesięcy dopiero, bo teraz one są jeszcze tak wątłe, tak delikatne...

Adwokat Dr. Volbert wypowiedział mowę na cześć reklamy, na cześć wieku XX. na cześć pioniera przyszłości, oskarżonego Alfreda Véry.

Prokurator był dziwnie łagodny i dziwnie często głaskał się po głowie, na której cieniowały się delikatne, drobne, złotawe włoski jak u niemowlęcia, które nie wie jeszcze, co to jest świat i życie i zawód prokuratora.

Koniec końcem — pan Véry został skazany na grzywnę 10,0000 franków.

Bracia Riderot zapłacili ją z radością.

U wyjścia ze sądu czekał tłum.

I tłum ten wziął na ręce pana Véry i niósł go słoneczną ulicą — wesoły, zapalony, entuzjazmujący się wszystkiem, co nowe, tłum paryski.

Wieczorem, po procesie i wyroku, w gabinecie „Café de la Paix" bracia Riderot wydali wspaniały bankiet.

Za stołem usiedli oprócz gospodarzy panowie: poseł de Ronet, przemysłowiec Dr. Gruenbaum, dyrektor banku Devadatte, wniebowzięty i rozczulony kelner Ramon, sławny i nową sławą okryty detektyw Robert-Robert, pan Alfred Véry, wcielenie radości i dumy i — i dyrektor policji śledczej Lafettal.

KONIEC



**„Noc polska" w Nowym Jorku. Tradycyjny bal polski, na którym odtańczono szereg tańców polskich w oryginalnych strojach ludowych. Na zdjęciu ambasador R. P. w Waszyngtonie hr. Potocki w otoczeniu tancerzy.**

MARIA REUTT

7)

# Głos Krwi

**Romans obyczajowy z polsko-niemieckiego pogranicza**

Zaśmiała się o powiedziała przekornie:
— Kto wie, czy i ja nie znajdę rycerza, który pocałunkiem zbudzi mnie ze snu, ożywi moje otoczenie.
— Czy to las nauczył panią odcinania się?
— Może las, a może ludzie... tacy jak pan, młodzi ludzie... — drażniła go.
— Nie jestem młodym człowiekiem — burknął. — Mam lat trzydzieści osiem...
— Tylko! — udała, że się dziwi. — Myślałam, że dużo więcej, sądzę po wyglądzie.
Roześmiał się.
— Ależ pani złośliwa!
Zainteresowała go. Pierwszy raz spotkał ten typ. Nie dała się wziąć na lep, nie pozwoliła mu zajrzeć sobie do duszy.
— Złośliwa! Czy dlatego, że odpowiadam panu w tym samym stylu i tonie co pan. Że nie zasypałam pana wynurzeniami i użaleniami się, jak gęś przysłowiowa lub pensjonarka? Gęsią nie jestem, pensjonarką również...
W tej chwili twarz jej ożywiona, nagle zasępiła się, rozbawienie w oczach przygasło.
Idąc za jej wzrokiem, ujrzał barona prowadzącego dzieci.
— Dlaczego pani sprawia przykrość widok barona prowadzącego pani dzieci, o ile to są pani dzieci, sądząc po jej wyglądzie? — zaskoczył ją pytaniem.
Drgnęła gwałtownie i pobladła.
— Kocham je tak bardzo, że nie chcę z nikim dzielić się ich uczuciem — odpowiedziała szczerze. — A tymczasem one tak się przywiązały do barona, że gdy wyjedziemy stąd, tęsknić będą.
— Chłopiec jest szalenie do barona podobny — zauważył. Znów ją chciał zaskoczyć.
— Słyszałam o tym, ale ja sama tego nie widzę — odparła spokojnie, patrząc na idące towarzystwo.

Gdy dzieci stanęły obok ganku i mała dygnęła na przywitanie, matka kazała im ręce umyć i poprosić Genię o kolację.

Panowie pożegnali się, nie zatrzymywani przez gospodynię.

Babka nie wyszła wcale.

— No, jak ci się podobają? — spytał baron, gdy wjechali w las.

— Niczego kobietka... — odparł Eryk z uśmiechem — masz gust...

— Ależ, człowieku, opamiętaj się!... Nie znałem jej przedtem... i nie gustuję w niej obecnie.
— No, a chłopiec? Toż to wykapany twój portret!
— Daję ci słowo honoru, że nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Nie poczuwam się do ojcostwa względem niego — rzekł z rozdrażnieniem.
— Hm... — mruknął Eryk.
— Namielski, jej mąż, był synem leśniczego mego stryja. Może między jego matką, a moim stryjem coś było i to podobieństwo rodzinne przeszło na wnuka. Ale miły, jak rzadko miły chłopiec! — powiedział z przekonaniem i uczuciem.

— — — — — — — —

Wieczorem, gdy Erna znalazła się sam na sam z Erykiem, zagadnęła go pełna niecierpliwej ciekawości:
— No i jakże?
Eryk rozłożył ręce.



Fotogr. Mgr. Henryk Miron — Dębica. Zdjęcie wyróżnione na konkursie „M. Przyj."

## *Zaczarowany świat*

*Przede mną cudny miraż Tatr,*
*Zaczarowany świat mych gór;*
*Zdobyty chyżym lotem nart,*
*Zaklęty gdzieś w podniebiu chmur.*

*Z matawic Krywania dźwiga się szczyt,*
*Potężny masyw, granitu złom.*
*Barwi go różem wschodzący świt...*
*To moje góry! I to mój dom!*

*Mój puls młodzieńczy wali jak młot!*
*Pierś objął ucisk jak gdyby ból...*
*Serce me przeszył słoneczny grot!*
*W zachwycie stygną wśród śnieżnych pól...*

— — — — — — — —

*Wyżej! wyżej! chcę bliżej być Boga!*
*Biel i kryształy chcę zdobyć na wieczność*
*Bo dążyć w słońce, to moja konieczność!*
*Wytknięta ręką Przeznaczenia droga...*

*Zofia Borucka.*

— Mama niczego... bardzo do rzeczy. Dzieci miłe, szczególniej chłopiec; bo dziewczynka to jeszcze laleczka, z której może wyróść anioł, a także i diabełek lub wampirzyca.
— A to podobieństwo?
— Podobieństwo istotnie zadziwiające, ale nie niepokojące, bo pochodzić może z trzeciego pokolenia, albo i dalej wstecz. W każdym razie Abi nie pretenduje do tytułu ojcostwa, a nawet gorąco protestuje.

Erna odetchnęła i uspokoiła się.
Spotkawszy się wzrokiem z baronem, uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo i wdzięcznie.

— — — — — — — —

— Podobno był pan z moim synem wczoraj u tej wdowy po synie leśniczego? — zagadnęła go nazajutrz baronowa. — Jak pan zapatruje się na podobieństwo tego chłopca do niego?
— I ta także! — pomyślał. Głośno rzekł: — Mówiłam już wczoraj pannie Ernie, że nie powinno ono budzić w niej niepokoju...
— Tak pan sądzi?
— Jestem tego pewien. Abi nie wypierałby się wobec mnie ojcostwa, tym więcej, że lubi tego chłopca szczerze...
— A czy podoba się panu jego matka? — indagowała.
— Podobała mi się nawet bardzo — wyznał szczerze.
— A Abiemu?
— O Abiego mogą panie być zupełnie spokojne. Zakochany jest w narzeczonej po uszy. Inna kobieta poza nią nie istnieje dla niego.
— Dałby Bóg — westchnęła baronowa.

### NOC POKUSY

Prawie wszyscy goście zamku już rozjechali się, za wyjątkiem Eryka i doktora Mirenberga, którzy mieli wyjechać po niedzieli.
Eryk zaproponował Ernie jazdę łódką po stawie, bo wieczór był jasny, ciepły i pachnący subtelnie zapachem uśpionych kwiatów. Baron z doktorem grali w szachy. Trzeci wieczór rozgrywali tą samą partię i nie mogli jej skończyć. Obaj byli zapalonymi szachistami.
Eryk z Erną upajają się czarem sierpniowej nocy. Na granatowe niebo, usiane złotemi gwiazdami, wtoczył się powolnie księżyc, przejrzał się w stawie, osrebrzył młodą parę i schował się za chmurkę, by raz po raz filuternie zerkać z poza niej.
Łódka płynie powoli, wiosła delikatnie muskają wodę, a mężczyzna mówi do panny:
— Noc taka usposabia do marzeń, rozgrzesza z różnych porywów.
— To pan wierzy w grzechy i pokutę za nie? — ironizuje panna. — A co uważałby pan za grzech w tej chwili?
— Skradzenie całusa pani.
— Bodajby więcej było takich grzechów — wyzywa go panna.
Eryk nachyla się ku niej.
— Proszę mnie nie kusić, ty Ewo nowoczesna...
— A jeżeli skuszę, to co?
Eryk nachyla się ku niej i usta jego spadają na jej wargi.
Łódka zachybotała się gwałtownie, mącąc przeźroczystą toń wody.



**Ćwiczenia wojsk wysokogórskich w Alpach**

A w salonie idzie partia szachów...

W skupioną ciszę sali wpada głos lokaja:

— Pani Namielska z Ustronia przysłała po dominialnego doktora, bo synek jej bardzo ciężko zachorował; tymczasem pan doktor wyjechał do Wrocławia. Furman boi się wracać bez doktora i prosi żeby zatelefonowano do Piasków po lekarza. Czy pan baron pozwoli? — pyta.

Baron zapomniał o grze. Zerwał się z miejsca.

— Panie doktorze, jedźmy. Może coś niebezpiecznego — zawołał.

— Dobrze — zgodził się lekarz — nie pytając nawet o kogo chodzi.

— Niech Jan zaprzęga siwki do breku natychmiast! — padł rozkaz.

### WALKA O ŻYCIE

Brek toczył się z wielką szybkością po nierównej leśnej drodze, podskakiwał na korzeniach i kamieniach, a baron ustawicznie potrząsał batem nad końmi, które z wysiłku pokryły się pianą.

Dwadzieścia kilometrów przebyli prawie w godzinie.

Ledwo konie stanęły, baron już był na ziemi i nie czekając aż lekarz wysiądzie, biegł do mieszkania. Szła mu już naprzeciw pani Namielska, zapłakana i wystraszona.

— Czy to doktór? — spytała szeptem, nie poznając przybyłego w słabym świetle świecy.

— Przywiozłem doktora. Co się stało Jurkowi?

— Prawdopodobnie dyfteryt.

— Tak nagle — zdziwił się.

— Od kilku dni był niezdrów; miał gorączkę, narzekał na gardło — ale sądziłam, że to zwykłe takie przeziębienie, aż tu nagle dziś po południu atak febry i uczucie duszenia się.

— Jak pani mogła tak lekceważyć stan dziecka. Gdyby się Jurkowi co stało, do końca życia nie darowałbym pani! — woła baron, zapominając zupełnie, że mówi do matki chłopca.

Wszedł lekarz.

— Gdzie pacjent? — zapytał kłaniając się pani domu.

Milcząc wskazała mu drzwi i szła naprzód.

Na środku saloniku w białym łóżeczku leżał Jurek, rozpalony, nieprzytomny, rzężąc i nerwowo poruszając rączkami.

Doktor nachylił się nad nim i zaczął badanie. Próbował go posadzić, ale dziecko leciało mu przez ręce. Baron delikatnie podsunął ręce pod plecy chłopca i uniósł go na posłaniu.

Doktor przemocą łyżeczką otworzył mu usta i zajrzał w gardło. Trzymając łyżeczkę w ręku obejrzał się po pokoju.

— Proszę o miednicę z wodą i mydło — rzekł.

Pani domu wyszła po żądaną wodę.

— No i co? — spytał szeptem baron.

— Stan bardzo groźny. Jeżeli w przeciągu dwóch godzin nie zastrzyknie mu się surowicy, dziecko umrze.

Baron zbladł. Ze wzruszeniem patrzył na maleństwo, które położył na poduszkę. Nawet sam dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu ono było drogie. Miednicę przyniosła sama pani Namielska.

Doktór łyżeczkę wytarł w papier i starannie mył ręce namydlając obficie.

— Dziecko ma dyfteryt. Dla uratowania go potrzebna jest przeciwdyfterytowa surowica i to natychmiast. Ja zostanę, a baron pojedzie po szczepionkę...

— Tu nie ma czasu do stracenia — przerwał mu baron. — Zabierzemy dziecko do zamku, a ty samochodem przywieziesz szczepionkę z Piasków.

— Niech pani otuli małego w derkę, sama narzuci coś na siebie i jedziemy.

Delikatnie z czułością uniósł rozpalone ciałko i trzymał, aby matka owijała je w kołderkę. Wyniósł je i położył na kolana matce. Sam ujął za lejce. Dochodziła północ gdy stanął przed zamkiem.

— Obudzić szofera! — rozkazał lokajowi.

Zadzwonił na kamerdynera.

— Zapalić lampę w gościnnym pokoju i przygotować go do użytku.

Odebrał chłopca z rąk matki i niósł go na górę. Malec dyszał ciężko i rzęził w dalszym ciągu.

Pani Namielska stała oparta o ścianę, blada jak trup, bliska omdlenia.

Nareszcie pościel została zasłana i lokaj oznajmił, że pan doktor już pojechał.

Położył dziecko na łóżku i okrył kołdrą. Pani Namielska otuliła go szczególnie drżącymi rękami.

Podsunął jej fotel. Usiadła ciężko, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.



**Zapomniany cmentarz na Podhalu**



**Jak upiorna zjawa wygląda strzelec alpejski ubrany w biały strój, czyniący go z dala niewidocznym na tle śniegu**

Ukryła twarz w dłonie i przez palce jej przeciekały łzy. Baron krążył po pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Chodził od łóżka do drzwi, od drzwi do okna — nadsłuchując, czy samochód nie jedzie. Minuty dłużyły mu się w nieskończoność.

Nareszcie skrzyp żwiru pod kołami auta oznajmił, że doktor przyjechał.

— — — — — —

Umiejętnie zrobiony zabieg, zaaplikowany proszek na uśmierzenie gorączki i krótkie „dobranoc" doktora.

Zrobił swoje, może iść położyć się.

— Proszę się nie martwić — mówił do pani Namielskiej. — Chłopiec jest uratowany.

Nie spostrzegł się, kiedy usta kobiety przywarły do jego dłoni.

— Co pani robi? — cofnął rękę zmieszany.

— — — — — —

Erna była niemile zaskoczona gdy, wróciwszy z Erykiem z parku, dowiedziała się od lokaja, że baron z doktorem pojechali do Ustronia.

— Przeklęte bękarty — myślała ze złością w duszy, idąc do siebie.

Eryk oficjalnym pocałowaniem ręki, pożegnał ją, unikając jej wzroku.

Te pocałunki tak chętnie dawane nie sprawiły mu przyjemności, a nawet zaskoczyły go.

— Narzeczona przyjaciela i to jakiego przyjaciela! Kolega szkolny, towarzysz zabaw młodzieńczych i ciężkich lat wojny, spędzonych w okopach i za zasiekami.

Czuł niesmak w duszy i urazę do siebie i panny.

Postanowił wyjechać rano, bardzo wcześnie, bez pożegnania.

Kazał lokajowi obudzić się o piątej — a szoferowi czekać o pół do szóstej przed zajazdem zamkowym.

„Drogi przyjacielu, muszę wyjechać tak niespodziewanie, że nie mam czasu pożegnać się z Tobą i doktorem. Przeproś ode mnie panie. Uścisk dłoni. E. N."

List ten zostawił w hall'u na stole.

— — — — — —

O północy Ernę obudził jakiś ruch na korytarzu, szepty, liczne kroki ginące na końcu korytarza. Leniwie sięgnęła do kontaktu. Zajaśniało różowe światło ampli.

Zegar wskazywał dwunastą.

— Prawdopodobnie ktoś niespodziewanie przyjechał — pomyślała, gasząc światło.

## PO BURZY...

Baron, gdy tylko wstał, posłał zaraz dowiedzieć się o Jurka.

Kamerdyner wrócił z wiadomością, że panicz ma dużą gorączkę, ale mu znacznie lepiej. Pan doktor już był u niego.

Ubierał się z gorączkową szybkością, bo parło go pragnienie ujrzenia dziecka.

— Poczciwy Herman, że tak życzliwie zajął się nim!

— Co powie Erna? — myślał z niepokojem, mijając jej sypialnię.

Zapukał delikatnie i wszedł.

Przy łóżku chłopca zastał doktora i panią Namielską, bladą z podsiniałymi oczami o zgaszonym spojrzeniu.

— Zuch chłopiec — pochwalił doktor chorego. Za parę dni będzie zdrów. Pani Namielska chciała go zabrać do domu. Odradzam jej. Jest niespokojna o córkę. Ja myślę, że było by dobrze wstrzyknąć jej surowicę.

— Nie pozwolę ruszyć stąd Jurka, dopóki całkowicie nie wyzdrowieje. Ty pojedź z panią, zobacz małą i jeżeli będziesz uważał, że potrzebny jej zastrzyk, to zrobisz zabieg. Pojedziecie samochodem do Piasków po lekarstwo, a stamtąd do Ustronia — powiedział stanowczo. — Zatelefonuję do naszego dominialnego doktora, żeby przysłał mi natychmiast pielęgniarkę dla chłopca...

Wyszedł z doktorem.

— Dziękuję ci, że tak poczciwie zająłeś się tym dzieckiem. To taki miły i inteligentny chłopiec, sierota po wojskowym, zabitym w wojnie.

— Chłopcu nic nie będzie, ale ta jego siostra może również zachorować.



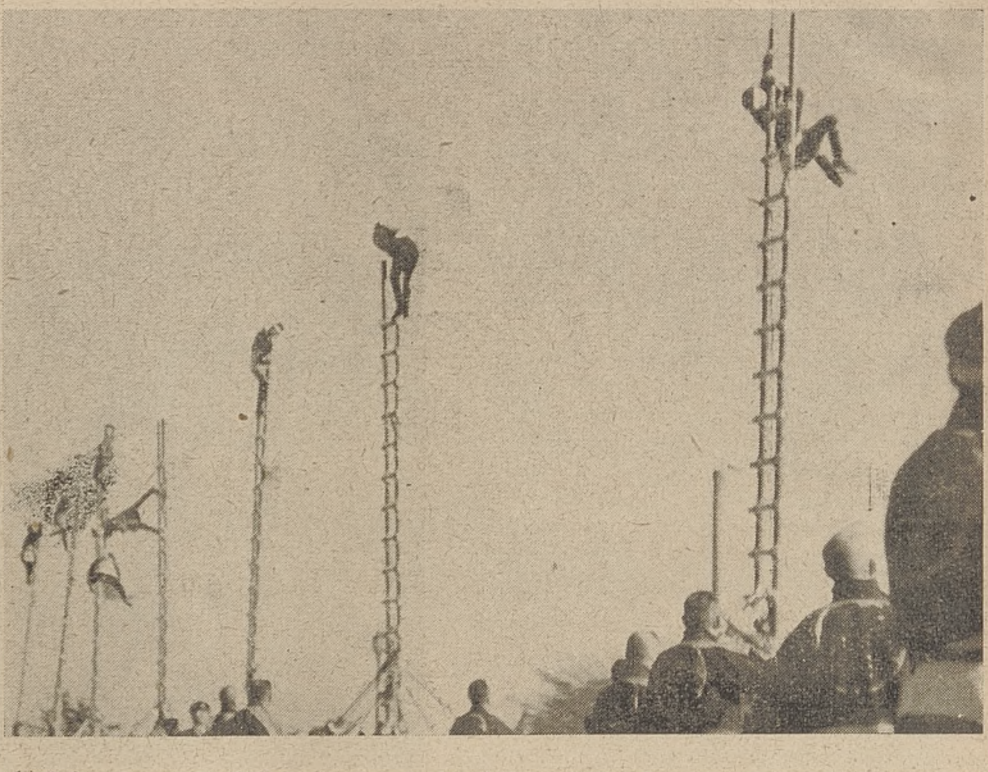
— Więc jedź z nią do Ustronia. Dziecko może zostać tu u nas pod opieką pielęgniarki i mojej matki.

Kazał lokajowi zanieść dla pani Namielskiej śniadanie, a dla dziecka mleka, usadowił doktora przed filiżanką aromatycznej kawy i apetycznymi bułeczkami, a sam poszedł do matki. Ubierała się. Zarzuciła szlafrok i przyszła do buduaru.

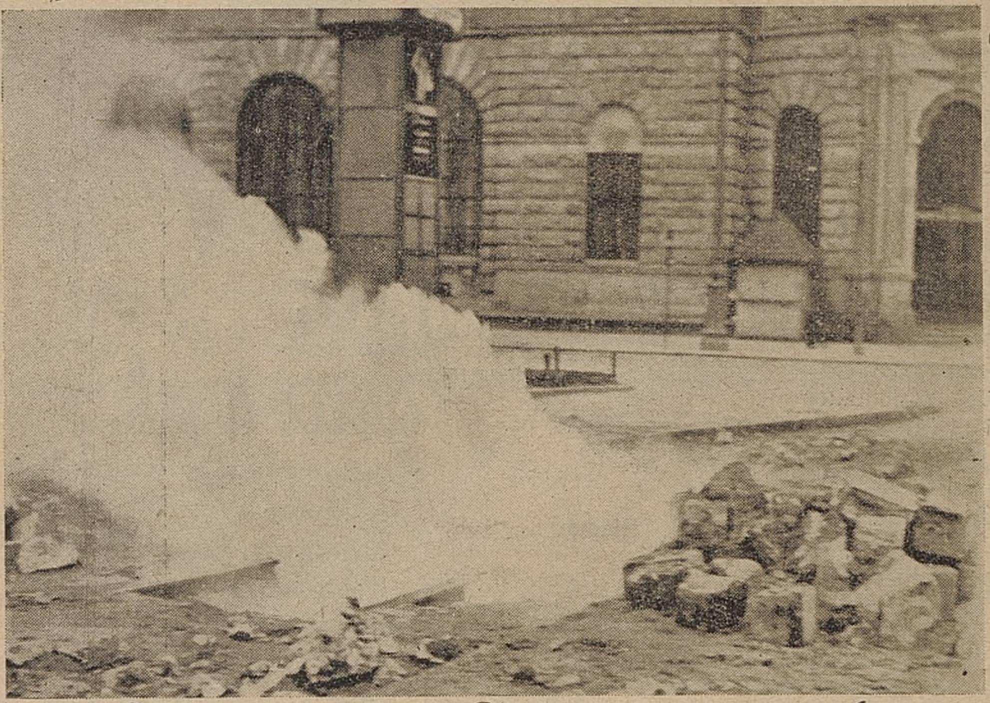
W krótkich słowach streścił jej zajście nocy ubiegłej i prosił, by wzięła chore dziecko pod swą opiekę.

— Mamusia rozumie, nie mogłem zostawić dziecka bez pomocy i ratunku.

Owinęła się szczelnie w czarny jedwabny szlafrok. Wsunęły synowi rękę pod ramię i powiedziała spokojnie:



**Akrobaci japońscy w trakcie wykonywania kar kołomnego pokazu na pionowo ustawionych drabinach**



**Wybuch bomby burzącej na ulicy Lwowa. Fragment z ćwiczeń opl.**

— Chodźmy!

Z głęboką wdzięcznością prowadził ją po schodach, potem długim korytarzem aż do ostatniego pokoju. Zapukał dyskretnie i nacisnął klamkę.

W pokoju panował półmrok od zapuszczonych stor. Za ich wejściem z fotela przysuniętego do łóżka podniosła się drobna kobieca postać.

— Śpi — powiedziała szeptem.

Cofnęli się do drzwi. Szła z nimi.

W jasnym świetle korytarza obydwie kobiety zmierzyły się wzrokiem.

W oczach starszej przebijało współczucie i ciekawość. Młodsza patrzyła smutnie na elegancką sylwetkę pani domu. Ciemne jej oczy rozszerzone były dotąd zastygłem w nich przerażeniem z powodu choroby dziecka.

— Syn opowiedział mi o zmartwieniu, jakie panią dotknęło .Niech pani spokojnie wraca do córki. Zajmiemy się chorym z całą pieczołowitością. Doktor mówił, że niebezpieczeństwo minęło. Za parę dni odwieziemy go pani, a codziennie otrzymywać pani będzie wiadomości o jego zdrowiu.

Uśmiechnęła się przy tym do młodej kobiety uprzejmie, prawie serdecznie i współczująco.

— Tak mi przykro, że nadużywam dobroci i uprzejmości państwa — powiedziała pani Namielska, skubiąc nerwowo klamrę paska.

W swej skromnej z taniego, surowego jedwabiu sukience, blada, przygnębiona pani Namielska, wyglądała tak niepozornie, że obawy baronowej zniknęły zupełnie.

— Zwykły, przejściowy kaprys, nic więcej — pocieszyła się.

— — — — — —

Pani Namielska nie mogła oderwać się od Jurka; całowała jego rozpalone ręce, tuliła do nich twarz.

— Doktor czeka w samochodzie — szepnął jej do ucha baron.

Jak automat szła po wysłanych chodnikach korytarzu i schodach, jak automat wsiadła do samochodu.

Baronowa zajrzała do dziecka. Pielęgniarka siedziała, nie spuszczając z niego oka. Mały leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami, w kącikach których perliły się łzy. Starsza pani wpatrzyła się w jego czerwoną, rozpaloną buzię i przypominała sobie syna, który również w tym wieku chorował na dyfteryt i był jednym z pierwszych, któremu wstrzyknięto nowo wynalezioną wówczas surowicę.

Uprzytomniła sobie ten wielki niepokój, jaki odczuwała wówczas i szczerze współczuła pani Namielskiej.

— — — — — —

Erna obudziła się późno, wypoczęta, pogodna i w dobrym humorze.

— Co to były za hałasy w nocy? — zagadnęła pokojówkę, która zjawiła się na odgłos dzwonka.

— Ach, proszę jaśnie panienki, co to była za noc! Jak panienka już położyła się, przyjechał pan baron z doktorem, przywieźli tego chłopca z Ustronia, chorego na dyfteryt. Pan baron niósł go na rękach!

— Co, ten bękart jest tutaj! — syknęła ze złością, siadając na łóżku.

— Tak, proszę jaśnie pani. Pan doktór sam jeździł w nocy do Piasków po lekarstwo dla niego, a dziś pojechał do Ustronia, żeby zbadać, czy i dziewczynka nie ma dyfterytu.

Cały jej dobry i wesoły nastrój prysnął. Nachmurzona, posępna, w milczeniu ubierała się. Drżał w niej każdy nerw złością.

— Cza jaśnie pani zejdzie na dół na śniadanie?

— Nie — brzmiała opryskliwa odpowiedź. — Przynieś mi kawę tutaj.

Po wyjściu służącej chodziła po pokoju kołując jak pantera po klatce.

Obmyślała dalsze postępowania z narzeczonym i sposób pozbycia się dziecka, usunięcia go z Ustronia.

Cztery miesiące dzieliło ją jeszcze od daty ślubu naznaczonej przez Abiego.

Cztery miesiące! To duży okres czasu i dużo rzeczy i zdarzeń może się stać w ciągu niego. Kto wie czy ta leśniczanka nie zechce wyzyskać przywiązania barona do dzieciaka i zająć jej miejsca w zamku? Nawet Eryk zainteresował się nią.

— Nie, ona, Erma do tej ewentualności dopuścić nie może — jak nie może też wrócić do domu ojca, do tej niechętnej, skłóconej wiecznie atmosfery, do tych drobnych oszczędności i ciągłego utyskiwania na brak pieniędzy. Prawdą, że ona ma własny kapitał odziedziczony po matce; ale jest to mały kapitalik, nie wystarczający nawet na odpowiednie stroje...

— A może on umrze, może Bóg sam usunie go z jej drogi. Coby to było za szczęście!

— On musi umrzeć. Ten chłopiec musi usunąć się o jej drogi! Bo chociaż Abi odrzeka się ojcostwa, to jego przywiązanie do tego chłopca i to przeklęte podobieństwo przeczy, mówi samo za siebie.

— Musi działać... musi bronić się.

Przypomina sobie Eryka i scenę na stawie i uśmiechnęła się z zadowolenia. Chciała wypróbować i na nim swój urok. I udało jej się w zupełności.

— Na pewno teraz robi sobie wyrzuty biedaczysko — pomyślała z politowaniem.

Przyszło jej na myśl: co też powiedziałby Abi, gdyby się o tych pocałunkach dowiedział... (C. d. n.)



**Stadion na Krokwi w ostatnim dniu mistrzostw F. I. S. w Zakopanem**

EMILIA GUTOWSKA

# Sen

(FANTAZJA)

Kawa była doskonała, likiery też. Weranda oświetlona promieniami księżyca nadawała się do zwierzeń.

Właśnie Tolek kończył opowiadanie o zjawie zmarłej narzeczonej. Były tam wszelkie akcesoria sztuki spirytystycznej — do aparatów i materializacji włącznie.

Pani Dora postawiła filiżankę.

— Moi drodzy zaczęła, — opowiem wam pewien fragment z mego życia, a właściwie pewien sen.

— Przyjechałam do domu w przeddzień mojego ślubu. Czułam się niewyraźnie, bo wychodziłam nie za tego, ukochanego nad życie od którego dzieliły mnie tysiączne przeszkody, ale za człowieka, który widział moją mękę i był mi bratem i pocieszycielem w tych strasznych chwilach — za mego obecnego męża.

W domu zastałam nastrój przedświąteczny. Froterowano posadzki, zawieszano firanki, z kuchni rozlegało się bicie pianki, ucieranie czegoś tam, pachniało różnymi różnościami.

Siostra pokazała mi spis zaproszonych. Sami znajomi, ludzie, których się znało od dziecka. Druhny-koleżanki z lat dziecinnych, drużbowie-chłopcy, z którymi się tańczyło i jeździło konno.

Zatrzymałam się przy nieznanym nazwisku.

— Kto to taki?

— Ach, odpowiedziała mi siostra — nie masz pojęcia, jaki to ciekawy człowiek. Piękny, bogaty jak Krezus — posypały się superlatywy, ale odludek, stroni od kobiet, nie asystuje nikomu, w ogóle dziwak.

Nie mogłam zasnąć. Po raz setny przeżywałam rozstanie z Władkiem, bezlitosne słowa, które mi rzucił na odchodnem.

— Powracam do Janki, bo ją kocham, bo jest moją żoną. Wobec ciebie żadnych zobowiązań nie mam. Chciałaś sobie złapać męża słynnego poetę, — nie udał się szantaż, panienko!

A dzisiaj rano — list od niego, oszalały miłością i bólem, że ja i tylko ja i w tym i pozagrobowym życiu.

Dwa lata tej męki przeżyłam. Po wybuchach miłości byłam poniewierana jak pies, po obelgach rzucał mi się do nóg, błagając o przebaczenie. Nie zostałam jego kochanką i to również było tematem niezliczonych awantur.

Wreszcie zerwałam pęta: wyjechałam, uciekłam, jutro wychodzę za mąż za innego, może odpocznę i zapomnę...

* * *

Świtało. Okno było różowe, jeszcze chwila, a zaćwierkają ptaki. W pokoju było coraz widniej.

Nagle na tle przeciwległej ściany zaczęły się zarysowywać jakieś kontury, najpierw mgliste, a potem coraz wyraźniejsze. Uniosłam głowę i zobaczyłam, Władka, trzymającego za ręce dwóch panów. Cała ta widmowa trójka szła w moją stronę. Widzenie było tak realne, a jednocześnie tak niesamowite, i mrożące krew w żyłach, że nie miałam siły się poruszyć ani wołać pomocy.

Złociła się czupryna Władka, pionowa zmarszczka, jak zwykle, przecinała czoło. Obok wysoki, szczupły, brunet, we fraku, typowy kresowy pan czarował tatarską urodą. A z drugiej strony — błyskała zuchwale śliczna twarz młodego ułana.

Zatrzymali się. Przemówił Władek.

— Słuchaj uważnie, bo pozwolono mi zakomunikować rzeczy ważne. Uciekłaś ode mnie, bo byłem ci tyranem, bom ci duszę szarpał na strzępy. Ale ani ty ani ja nie wiedzieliśmy najważniejszego. Ty, ja, Kazimierz — wskazał na bruneta i Stanisław — drapieżnie błysnęły w uśmiechu zęby ułana, stanowimy jedną rodzinę — astralną. Możesz uciekać na koniec świata, możesz stworzyć tu na ziemi inną rodzinę, całości nie rozerwiesz. Jesteśmy jedno do tego stopnia, że nawet ziemskie nasze powłoki opuścimy o tejże godzinie, żeby się połączyć na wieki. I tutaj, na ziemi będziemy się spotykali. Pamiętaj, że jesteś naszą — a my do ciebie należymy.

Zjawisko zginęło. Przetarłam oczy; chyba mi się to wszystko śniło. Schowałam głowę pod kołdrę i zasnęłam naprawdę.

* * *

Nazajutrz ślub w naszym starym kościółku. Padają sakramentalne słowa: „Nie opuszczę cię aż do śmierci"

Odchodzimy od ołtarza. Banalne powinszowania. Machinalnie daję się obcałowywać, podaję rękę...

I — o Boże! W ślad za siostrą zbliża się do mnie on — Kazimierz ze snu. Spojrzeliśmy na siebie. Jakby błyskawica przeleciała między nami. Skamienieliśmy po prostu. Staliśmy wchłaniając się oczami, zapominając o wszystkim, co nie było nami. Zaczął się szmer w kościele. Ludzie lubią sensację, więc zaczęto się do nas cisnąć. Wówczas siostra ścisnęła mnie ostrzegawczo za ramię, ktoś wziął pod rękę Kazimierza, oprzytomnieliśmy i skandal był zażegnany.

* * *

Po kolacji, korzystając, że mąż mój z zapałem obtańcowuje jakąś kuzynkę, wymknęłam się do ogrodu i tam na ławce, zaczęłam rozmyślać o niedawnych wypadkach. Zastanawiałam się: co by było, gdybym ujrzała Kazimierza o jakie dziesięć minut wcześniej; czy powiedziałabym wówczas „tak" przed ołtarzem?

...Ktoś obejmuje mi nogi, na kolana pada głowa... I ten straszny męski szloch... i słowa urywane, dyszące miłością.

Kazimierz mówi mi o uczuciu, które spadło na niego tak, że już chyba dalej żyć nie potrafi.

— Wiem, że i ty mnie kochasz, mówił przerywanym głosem; z człowiekiem, z którym odeszłaś od ołtarza, nie łączy cię miłość, porzuć wszystko, auto moje czeka, pojedziemy do mnie. Jestem prawnikiem, rozwód przeprowadzę prędko, tylko, zlituj się, powiedz „tak".

— Pojedziemy — kusił dalej — do Włoch, nad morze. Wyobraź swoją blond główkę pomiędzy czarnowłosymi Włoszkami. Widzę cię, księżniczko otoczoną tłumem fraków, uwielbianą przez wszystkich, a jednak moją na wieki.

Z klejnotów rodzinnych wybiorę dla ciebie garnitur turkusowy. Nosiła je moja prababka. Albo ustroję cię w szmaragdy. Podanie głosi, że aż do Indii mój praszczur za nimi wędrował. A potem wrócimy do siebie i będziemy żyć sobą i swoją miłością.

Jakby w śnie hipnotycznym wstałam z ławeczki, zarzuciłam mu ramiona na szyję i poszliśmy w poświacie księżycowej, takiej jak dzisiaj.

Na rogu alei spotkaliśmy siostrę; zorientowała się w mig w sytuacji.

— Dokąd? uderzyła nas oczami.

— Zrozum mnie Stefo, zaczęłam. Muszę iść z nim, bo miłość spadła na nas jak piorun. Janek wie, żem go nigdy nie kochała. Przeproś go, wytłumacz, że musiałam odejść.

— Chcesz zabić matkę?

Opadły mi ramiona. Tak! matka nie przeżyłaby tego. Córka wprost od ołtarza ucieka z kochankiem.

— A myślisz, że Janek nie skończy samobójstwem?

— Panie Kaziku, ciągnęła dalej, pan natychmiast odjedzie do domu. Wytłumaczę gościom, że przyjechał umyślny z depeszą przeproszę obecnych, że musiał pan odjechać bez pożegnania, żeby nie psuć nastroju. A co do ciebie, zwróciła się do mnie, powiem, żeś była w moim pokoju. Nie, nie, bez pożegnań dodała szybko, widząc, że się Kazik pochyla do mnie. Żegnamy pana.

Odjechał.

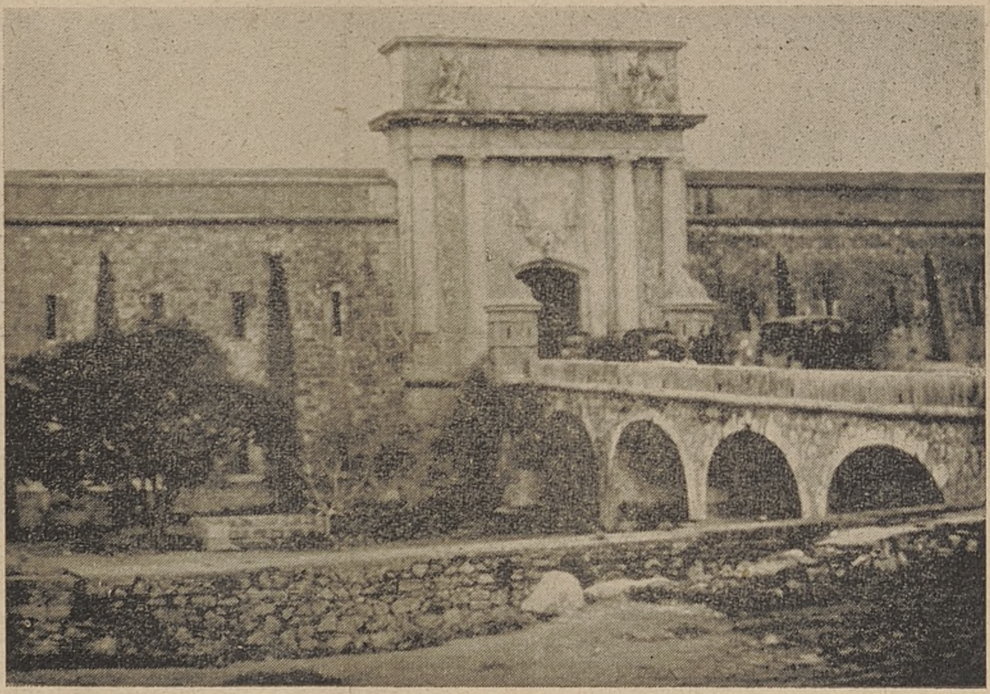
* * *

Popłynęło szare, bezbarwne życie. Rany poczęły się zabliźniać, gdy wtem, jadąc raz z Warszawy spotkałam tego trzeciego ze snu — Stanisława.

Wyrósł on nagle na korytarzu koło mego przedziału, cudny ułan, ze złotymi błyskami w oczach.

I znowu błyskawica olśnienia.

Porwał mnie za ręce.



**Wojska generała Franco wjeżdżają do cytadeli w Figueras w Katalonii**



Taniec góralski podczas „Nocy polskiej" w Nowym Jorku

— Jedyna moja, całe życie o tobie marzyłem. Szukałem wszędzie, boś mi się po nocach śniła, cudo ty moje.

— Stanisław! Wyjąkałam.

— Znasz moje imię, nie jestem ci obcy. Pewnie, w zaświatach zesteśmy złączeni. Co, mężatka? wybuchnął śmiechem; furda mąż! Co to, rozwodów nie ma, czy co?

— Ależ... protestowałam.

— No, niech się godna osoba przyzna, że pokochała tego zwariowanego Staśka proszę!

Tak, nie można było nie pokochać tego chłopaka.

Myśli kłębiły mi się pod czaszką. Co począć! I jak przed laty ogarnęła mnie fala przepotężnej miłości, a jednocześnie rozległ się w uszach głos słyszany kiedyś.

— Matka tego nie przeżyje, Janek skończy samobójstwem. A dzieci! Porzucić te słodkie istotki, które są radością mego istnienia, czytać wyrzut w oczach: matko dlaczegoś nas porzuciła?

Wahanie trwało niedługo. Pociąg już się zatrzymywał na dużej węzłowej stacji.

— Panie Stanisławie.

— Królewna ma mówić „Stachu".

— A więc Stachu, musimy się poważnie rozmówić.

Już skierował się do przedziału.

— O, nie tak prędko! Muszę kilka chwil być samą, pomyśleć, co mamy robić, a potem będziemy się wspólnie naradzali nad dalszym losem. Idź, zbierz swoje rzeczy i przejdź do mego przedziału. Tylko się nie spiesz, bo przed kwadransem nie wpuszczę.

— A całusa dostanę?

— Z powodu?

— Na zadatek!

— Potem.

— Ładnie, gderał nadąsany. A w usteczka?

— Nie

— A w paluszek?

— Nie

— A jeżeli... nie usłucham?

Rozchyliły się drapieżne koralowe wargi. W oczach zamigotały ogniki. Jeszcze chwila... Zebrałam resztkę sił i spojrzałem groźnie.

— Niesubordynacja?

— O nie, nie, słucham, lecę, pędzę, za kwadrans wracam.

I pognał przez korytarz, dzwoniąc ostrogami.

Złapałam swoje rzeczy, dobrze, że było ich niewiele, wyskoczyłam na peron i zmieszałam się z tłumem. Wykupienie biletu do pociągu podążającego w przeciwną stronę zabrało mi parę minut.

Pani Dora zamilkła.

— Niechże pani opowiada dalej.

Milczenie. Wszyscy spojrzeli w stronę foteliku Dory. Bezwładnie opuszczone ręce odrzucona głowa robiły niesamowite wrażenie.

— Chora?

— Zemdlała?

— Ci-i-cho! Wyszeptała pani Ziuta. Prawdopodobnie zobaczycie zaraz nadzwyczajne zjawisko. Ja to raz widziałam. Trzeba tylko zachować największą ciszę.

*

Pani Dora robiła wrażenie zmarłej. Przeszło kilka minut. Jasny obłoczek zamigotał na jej piersi, spełznął na ziemię, zaczął rosnąć, kształtować się, kształty nabierały okrągłości i po chwili obok leżącej nieruchomo kobiety, stanęła ta sama Dora, ale znacznie młodsza, piękniejsza: panna młoda w ślubnej sukni.

Zjawa, nie dotykając ziemi, przesunęła się przez werandę i popłynęła przez park. Przy stawie widmo się zatrzymało i błagalnie wzniosło ręce.

Zamarły serca obecnym, bo oto z pobliskiej grupy drzew podpłynęły do niej trzy inne zjawy; poety o złocistej czuprynie, kresowego pana we fraku i młodego ułana. Trzymając się za ręce, zbliżyły się widma do Dory i uklękły u jej stóp.

# Dwa spotkania

NOWELA

Tego dnia jakoś się nic nie kleiło. Na wykład się spóźniła i musiała całą godzinę czekać na profesora, potem z kina były „nici", bo Irena i Adam zawiedli tak, że wracała sama do Domu Akademiczek opustoszałą już trochę ulicę. Czuła się w tej chwili dziwnie osamotniona, mimo, że na ogół prowadziła towarzyski tryb życia. Nieraz właśnie zastanawiała się, po co otacza się tylu młodymi ludźmi, po co włóczy się w towarzystwie licznych roześmianych koleżanek i kolegów po kinach i teatrach, po co wreszcie fotografuje się z nimi przy lada okazji? To było wprost niezrozumiałe, ponieważ w gruncie rzeczy nie lubiła tego wszystkiego, może jednak chciała upodobnić się do tych młodych dziewcząt, których życie dzieli się na kina, dancingi i... egzaminy? Uniwerkiem się nie przejmowała. Ponieważ jeszcze z czasów szkolnych została jej pedanteryjna pilność, zdawała w przepisanym czasie colloquia i egzaminy, nie angażując się w tym zbytnio. Ot — czegoś brakowało jej życiu. I nie spodziewała się, na razie przynajmniej, żadnych zmian.

Dziś wyjątkowo była rozstrojona. Szła bez zwykłego rozmachu, z cieniem niechęci na samą myśl spędzenia wieczoru w towarzystwie, kujących do egzaminu współlokatorek.

Gdzie by pójść?

Przypomniała sobie, że właśnie dziś odbywa się „herbatka" koła klasyków. Zabawa, co prawda, żadna, na lekarstwo dobrego tancerza — ale pogada trochę, pośmieje się z żartów. Dukata i zapomni o sobie. Przyspieszyła kroku, obmyślając kolejność czynności, które ją czekały. A więc pójść do Oli i wyciągną, na tę herbatkę, potem manicure, trochę ondulacji, wreszcie przyszyć koronkę do sukienki. Inne myśli przesunęły się na dalsze tory.

W niecałą godzinę potem stała w sali w gronie znajomych Klasyków i innego „Kalibru" znajomych. Tak, jak się spodziewała, był Dukat, Adam, Irma, Ola i ona cała paczka. Prawie wszystkich obecnych znała, jeżeli nie osobiście to z widzenia. Raz mignęła jej w tłoku obca twarz. Szare oczy z uporczywością szukały jej spojrzenia. Nie zwróciła na to uwagi. A gdy zagrali modne właśnie i nastrojowe tango, stanęło przed nią niskie, trochę — nie wiadomo czemu — śmieszne indywiduum. Już miała wymówić się, kiedy spojrzenie jej zwarło się z szarymi oczyma obcego.

— Gdzieś te oczy widziałam — myślała, poddając się zupełnie melodii.

— A jednak musieliśmy się poznać — powiedział matowo.

Przymknęła oczy, aby zatrzymać w uchu brzmienie jego głosu. Coś było dziwnie bliskiego w tej kwadratowej twarzy.

— Czy pani zna teorię „promionków" Lane?

— Właśnie z pani one promieniują. I wie pani co? Ludzie obcy, posiadający takie właśnie „promionka" stanowią jedną wielką rodzinę.

— Ja nazywałam to „ludźmi z mojego świata"

Wodziła oczyma po znanej sobie od dawna sali i nie poznawała jasnych, coraz jaśniejszych ścian... A w uszach czuła jego głos. Tak jakby otworzyły się nieznajome spusty i skąpe zawsze słowa lawiną szczerości wpadały do obcych uszu.

Mówiła po prostu, bez zwykłej brawury trochę w zdziwieniu unosząc brwi i mimo woli podnosząc głos. Życie ni stąd ni zowąd nabrało blasków i barw. Obce szare oczy patrzyły przyjaźnie i dawały złudzenie tamtego świata; o którym ukradkiem jeszcze się myślało. Nie widziała już nic śmiesznego w niskim wzroście, w nadmiernie szerokich barach i krzaczastych brwiach. Cała noc przetańczona i przegadana zdawała się być początkiem jakiejś innej, nowej rzeczywistości.

W kilka dni potem, kończąc z pośpiechem obrad w Kuchni Gospodarczej, uczuła na sobie czyjś cień. Chwilę czekała, by cień posunął się dalej, ale uparcie tkwiąc na talerzu, zmusił ją do podniesienia oczu.

Po drugiej stronie stołu stał Tomasz Wrocki.

— Właśnie przyjechałem przed chwilą i myślałem o pani.

— Bardzo się cieszę, żeśmy się spotkali.

Pospiesznie wsunęła beret na głowę i wyszli. Zła była na siebie za to, że jej tak dobrze, że się czegoś trochę wstydzi i że właśnie idzie tak daleko, bo aż do biblioteki. Wrocki ją odprowadzał. Słuchała jego matowych słów i jaśniała od

wewnątrz jedną myślą — że oto istnieje tamten świat, są „swoi" ludzie.

Której niedzieli siedziała nad otwartą książką, nie widząc żadnego wiersza — nagle telefon krótko zadzwonił.

— Halo... Tak, jestem przy aparacie...

— Dziś... na koncert?...

— Nie...e, jest wolna...

Owszem...

I poszła. Czuła, że trochę śmiesznie przy nim wygląda — ona smukła wysoka jasna. Stali w półmroku, rozmowa jakoś się nie kleiła.

Tymczasem zbliżał się koniec roku akademickiego i ostatni egzamin. Dłużej przesiadywała po bibliotekach, a po nocach kiwała się nad książką. Postanowiła pójść do kuratorium z podaniem o posadę. Zwlekała z tym. Było jej ciężko, „korki" ją męczyły, wydzierały się wszystkie sukienki, coraz częściej myślała... o jasnych obłokach nad brukami jakiegoś Kępna.

Aż raz się wybrała. Starannie przejrzała w szybie okna swą zeszczupłałą figurę, poprawiła beret i przypudrowała nos. Ciężkie drzwi wejściowe były pierwszą przeszkodą.

A potem kilometry korytarzy. Wąskie długie, ukośne, ciemne i rozświetlone.

Polecono jej udać się do naczelnika X.

Nie mogła trafić. Odsyłana od jednego woźnego do drugiego błąkała się spochmurniała i wątła. W końcu została przyjęta.

Nadzieja mała, ale podanie złożone.

Wyszła wolno i szła ciemnym korytarzem w stronę jaśniejącego okna. Nagle w smudze światła zobaczyła dawno niewidzianą, krępą, kołyszącą się z lekka na nogach, — nie wiadomo czemu — śmieszną postać.

Uśmiech jej spłynął do ust i stopił tam w kącikach tkniącą gorycz.

Szare oczy spojrzały przelotnie spod uchylonego kapelusza.

— Dzień dobry pani.

Szła dalej z przymkniętymi powiekami, by nie pozwolić spłynąć natrętnej, grubej łzie, a w uszach — zupełnie niechcący — zostało oschłe, obojętne brzmienie głosu, mówiącego niegdyś matowo i poufnie... o „promionkach" Lana.

*Maria Żytomirska.*

NILLERMARIA

# W gabinecie mojej ciotki

(Z niemieckiego tłumaczyła J. Str.)

Ciotka Eliza była mym ideałem. I nie tylko moim! Była ona również ideałem mych rówieśnic i przyjaciółek. Często się zdarza, że egzaltowane podlotki otaczają czcią i miłością dojrzałe kobiety.

Ciotka moja zasługiwała w zupełności na to uczucie. Nie wiadomo, co w niej było bardziej godnego podziwu: piękność, wdzięk wytworny, czy dobroć niezrównana. Wszystko w niej było jasne i świetlane, tylko...

Dwóch rzeczy nie rozumiałam, dwie rzeczy były dla mnie ciemne i tajemnicze.

Oto ciotka — ubrana zawsze z wyszukaną elegancją — nosiła koronkowy czepeczek, ale kroniki była tak gęste i nieprzejrzyste, że absolutnie nie było można dojrzeć włosów.

Czy były to złociste loki, czy ciemne warkocze, których obfitość odznaczała się pod czepeczkiem?

Drugim ciemnym dla mnie punktem był gabinet ciotki, zawsze zamknięty i niedostępny dla mnie.

Codziennie o godzinie 6-tej wieczór ciotka zamykała się w tym gabinecie. Od zwyczaju tego nie odstępowała nawet przy gościach.

Ciekawość dziecka, podlotka i młodej dziewczyny była tym tajemniczym znikaniem ciotki podniecona, ale żadne prośby o wyjaśnienie nie pomogły. Ciotka, zawsze dobra i pobłażliwa dla mnie — na tym punkcie była nieubłaganą. Podsłuchałam tylko, że o 7-ej zegar w tajemniczym pokoju wygrywał starą piosenkę.

Lata mijały. Byłam już dorosłą dziewczyną, a w życiu ciotki Elizy nic się nie zmieniło.

Pewnego wieczora, gdy ciotka o 7-ej, jak zwykle, wyszła ze swego gabinetu, usiadłyśmy w salonie, czekając na mą przyjaciółkę Konstancję, z którą miałyśmy czytać jakąś zajmującą książkę.

Dzwonek zadźwięczał w przedpokoju. Po chwili Konstancja weszła szybko do salonu, zbliżyła się do stołu, przy którym siedziałyśmy, oparła się o niego obiema rękami i spojrzała na nas.

Zerwałyśmy się z miejsca przerażone. Boże! Co się stało mej pięknej, wesołej przyjaciółce?

Twarz blada, zastygła w bólu, oczy błędne, patrzące na nas, jakby nic nie widziały, usta oniemiałe...

— Konstytucja, co tobie?

— Nie żyje! — wyszeptała bezdźwięcznie.

— Kto taki?

— Alfred, mój narzeczony.

— Jakim sposobem? Opamiętaj się!

— Pies wściekły go pokąsał.

Konstancja upadła na krzesło. Pospieszyłyśmy na ratunek zemdlonej.

Gdy wróciła do przytomności — ciotka Eliza dotknęła ręką dzwonka stojącego na stole.

Zjawił się stary sługa.

— Proszę zapalić żyrandol w moim gabinecie, — rzekła do niego ciotka.

— Co pani każe? — zapytał stary Fryderyk, jakby własnym uszom nie dowierzając.

Ciotka powtórzyła rozkaz i sługa wyszedł, kiwając głową żałośnie.

Ciotka wzięła za rękę Konstancję i skierowała się ku drzwiom.

— Ciociu, weź mnie ze sobą! Nie zostawiaj samej z tym bólem Konstancji, — błagałam ze łzami.

— Nie, dziecko. Tam nie ma nic dla uszu szczęśliwych — odrzekła ciotka i wyszła z pokoju.

Zaniosłam się płaczem i długo nie mogłam się uspokoić.

Jakto? Więc osoba obca, Konstancja, a nawet służący są przypuszczeni do tajemnicy, tylko nie ja, która tak ciotkę kocham!

Rozżalona płakałam długo.

Potem poszłam cicho pod drzwi gabinetu ciotki.

Słyszałam przytłumiony szmer głosów, ale słów rozróżnić nie mogłam.

Nagle rozległ się głośny krzyk Konstancji. Co się tam działo? Dla czego ten okrzyk pełen przerażenia?

Zgnębiona powróciłam do salonu.

Po długiej chwili weszła ciotka sama, oznajmiając, że Konstancja poszła do domu.

Odtąd tajemnica ciotki nie dawała mi spokoju. Zdrowie moje nawet ucierpiało.

Co dzień podchodziłem do zamkniętych drzwi i słyszałam zegar grający starą melodię.

Utkwiła mi ona w pamięci.

Dnia jednego o 7-ej usiadłam do fortepianu i zaczęłam ją grać.

W tej chwili ciotka Eliza weszła do pokoju i na dźwięk piosenki stanęła, jak wryta.

Rzuciłam się ku niej, obejmując ją ramionami.

— Ciociu — wyjąkałam wśród łez, ulituj się nade mną! Ja już nie mogę...

Ciotka zbliżyła się do stołu i dotknęła dzwonka.

Stary Fryderyk zjawił się na progu.

— Proszę zapalić żyrandol w moim gabinecie.

— Co pani każe? — spytał sługa, jak wtedy.

— Żyrandol, żyrandol! — zawołałam niecierpliwie.

— O, hrabianko Heleno, pani nie wie, czego żąda — rzekł, kiwając głową stary i wyszedł powoli.

Drżąc cała, wzięłam ciotkę pod rękę i poprowadziłam przez szereg pokoi. Przed progiem gabinetu zawahałam się. — Czy mam prawo wdzierać się gwałtem w tajemnicę, strzeżoną tak starannie?

Ale chęć zbadania jej była silniejszą.

Gdy Fryderyk otworzył przed nami drzwi gabinetu — obrzuciłam pokój ciekawym spojrzeniem.

Był duży, ale sprzętów w nim nie wiele.

Przy jednej ścianie stała otomana, nad którą wisiały dwa obrazy. — Pod przeciwległą ścianą wysokie, staroświeckie biurko; na nim krucyfiks i zegar, na pewno z kurantem.

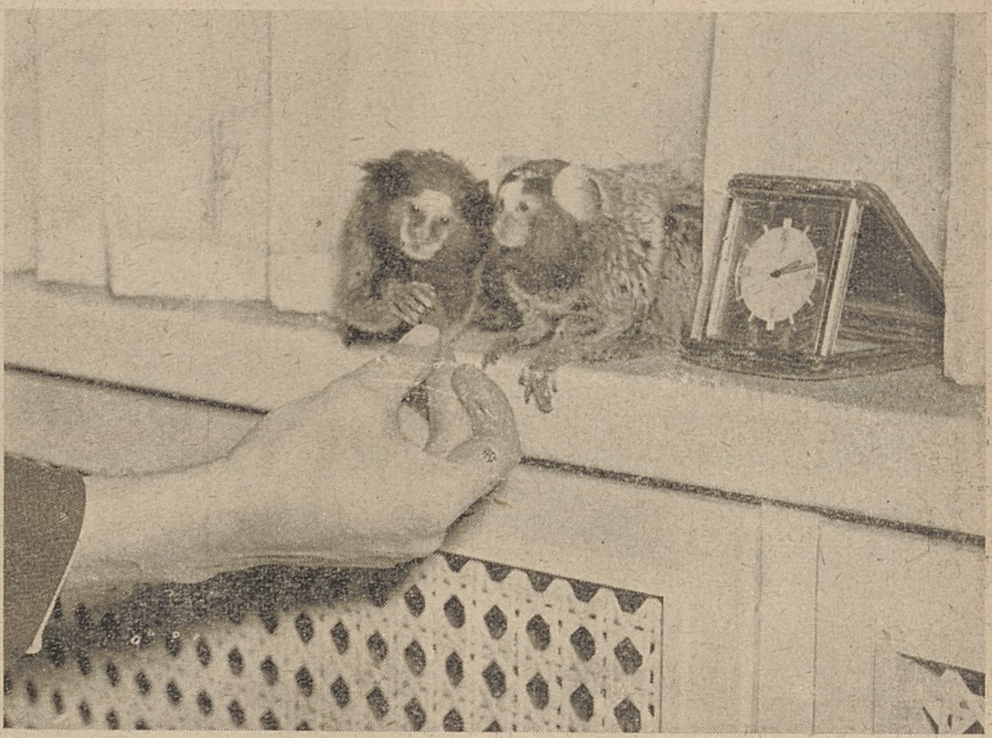
Spojrzałam na obrazy. Były to portrety. Jeden przedstawiał młodą dziewczynę, olśniewającej urody. Bujne ciemne loki otaczały cudną twarzyczkę.

Ciotka Eliza!

— Tak piękna, tak cudownie piękną byłaś, moja ciociu! — zawołałam zachwycona.

Ciotka uśmiechnęła się smutno.

Na drugim portrecie widniało popiersie mężczyzny, nie pierwszej młodości, ale o dziwnie szlachetnym wyrazie. Duże szare oczy patrzyły spokojnie, wyniosłe czoło znamionowało myśliciela, pięknie wykrojone usta miały zarys łagodny.



**Dwie maleńkie małpki, Winkle i Tiggy, stanowią atrakcję domu p. Dick-Eriksson w Sztokholmie**

— Tego człowieka mogłabym kochać, — odezwałam się.
Ciotka pocałowała mnie w czoło.
— Dziękuję ci za te słowa — wyrzekła.
Ulokowałam się wygodnie na otomanie, ciotka usiadła obok i zaczęła opowiadać.
— Miałam lat 6, gdy w mieście naszym osiadł hrabia X, przyjaciel mego ojca. Posiadłość jego leżała obok naszej; ogród nawet był wspólny.
Pokochałam od razu wuja Rudolfa, który mnie pieścił, pokazywał piękne książki z obrazkami, opowiadał bajki.
Codzień biegałam do niego.
Po paru latach wuj Rudolf zaproponował rodzicom, że będzie mnie uczył. Rodzice przystali na to i rozpoczęła się nauka. Z jakąż radością biegałam na te lekcje! Wuj miał niepospolity dar rozwijania umysłu i serca dziecka.
Trwało to lat kilka. Przyswajałam wiedzę z łatwością, a wuja kochałam coraz bardziej.
Dowiedziałam się, że wuj Rudolf był niegdyś żonatym, ale przyjaciel jego od serca zbałamucił mu żonę i pojechał z nią w świat.
Wuj, cierpiący na serce — przechorował ciężko ten cios.
Im bardziej kochałam wuja, tym większy żal czułam do tej żony, która mogła takiego człowieka porzucić.
Nauki postępowały. — W 14-tym roku życia pozwolono mi brać udział w proszonym obiedzie. Wśród rozmów miałam sposobność pochwalenia się znajomością łaciny, greki, a nawet hebrajskiego. Ojciec nie posiadał się z radosnej dumy i dziękował wujowi serdecznie.
Trwało to jeszcze lat parę, gdy wybiła nieszczęsna godzina.
Ojciec mój i wuj Rudolf byli odmiennych przekonań politycznych. Na tym tle wywiązała się między nimi dysputa.
Ojciec był gwałtowny, więc choć wuj bronił swego zdania ze spokojem — ojciec uniósł się do tego stopnia, że zawołał:
— Trzeba być szubrawcem, żeby tak utrzymywać!
Wuj pobladł śmiertelnie, ale się pohamował. Wstał w milczeniu, ucałował dłoń mej matki, pogłaskał mnie po głowie i opuścił nasz dom — na zawsze.
Wieczorem wezwał mnie ojciec do siebie i zapowiedział kategorycznie, żebym się nie ważyła chodzić na naukę do wuja Rudolfa.
Oburzona i rozżalona odrzekłam:
— Będę ci posłuszną dopóty, dopóki będę mogła, ale może przyjść chwila, w której zakaz twój przestąpię.
Nazajutrz robotnicy zaczęli ustawiać żelazne sztachety w ogrodzie.
Z rozpaczą w sercu podchodziłam do sztachet, godzinami patrzyłam na dom i ogród wuja, ale jego samego nie ujrzałam.
Żal i tęsknota wzbierały we mnie. Na koniec jednego dnia zapomniałam o wszystkich zakazach i przecisnęłam się między sztachetami ze szkodą mej sukni.
W jednej chwili przebiegłam ogród, werandę i otworzyłam drzwi do tego pokoju.
Na otomanie leżał wuj Rudolf. Jedną ręką zakrywał oczy, druga zwieszała się ku ziemi.
Przebiegłszy cicho pokój uklękłam i ucałowałam tę drogą rękę.
Wuj drgnął, odsłonił oczy, w których błysła radość.
— To ty, Elizo! Czy ojciec pozwolił ci przyjść do mnie?
— Nie, wuju. Przyszłam pomimo zakazu, bo już dłużej nie mogłam tak żyć!
— Jakże weszłaś?
— Gdybym była ptakiem, przefrunęłabym nad sztachetami, ale ja się przecisnęłam i co dzień będę tak robić.
— Nie trzeba. Fryderyk furtkę ci otworzy. Ale źle robisz, moje dziecko, że ojca nie słuchasz.
— Wuju, ja nie mogę. Pozwól mi odwiedzać siebie.
Wuj położył mi rękę na głowie. Patrzyłam na niego i zauważyłam, że się zmienił. Zmizerniał, większy niż zwykle smutek i zmęczenie malowały się na jego twarzy.
Rozmawialiśmy o rozmaitych rzeczach i godzina minęła, jak jedna chwila.
— Trzeba już wracać — szepnęłam z westchnieniem. — Ale jutro przyjdę znowu.
Fryderyk czekał już na mnie z kluczem od furtki.
I odtąd co dzień chodziłam do wuja o 6-ej godzinie, kiedy rodzice przyjmowali gości lub sami byli w gościnie.



**Scena z ćwiczeń obrony przeciwlotniczej we Lwowie**

Była to dla mnie najmilsza godzina i oczekiwałam jej z upragnieniem.

— — — — — —

Zbliżało się Boże Narodzenie.
Pewnego dnia przybyła do nas siostra mego ojca, której mąż był posłem naszego państwa w Paryżu..
Gdy mię jej przedstawiono, popatrzała na mnie i zawołała:
— Jak można młodą i ładną dziewczynę trzymać w małym mieście! Dajcie mi ją do Paryża; tam przynajmniej zobaczy świat i ludzi.
Rodzice zgodzili się od razu, ale co się ze mną działo!
Nie mogąc powstrzymać łez — uciekłam do mego pokoju i tam wybuchłam płaczem.
Jak to? Chcą mię rozdzielić z wujem Rudolfem? Mam go nie widzieć więcej!
Nie nęcił mnie Paryż i zabawy.
Płakałam długo, ale rady nie było.
Mieliśmy wyjechać pojutrze, więc pozostał mi tylko jeden dzień.
Nazajutrz, przed 6-tą jeszcze pobiegłam do mego wuja i z płaczem opowiedziałam mu o moim nieszczęściu.
— Wuju, ja umrę nie widząc ciebie!
Wuj popatrzał na mnie i rzekł:
— Nie umiera się, dziecko w twoim wieku..
— Ale ja cię nigdy, nigdy kochać nie przestanę!
— Moja Elizo, kobieta dorosła nie umiała dochować mi wiary, a ty przecie jesteś jeszcze dzieckiem.
Nad otomaną wisiał obraz zawsze zasłonięty.
W owej chwili odsunęłam zasłonę i ujrzałam portret kobiety bardzo pięknej, ale z oczu jej wiał chłód.
— Nienawidzę jej, — zawołałam. — Ona nie kochała cię tak, jak ja cię kocham!
Wuj starał się mię uspokoić. Poważny i głęboki głos jego wywierał dziwny wpływ na mnie.
— Wuju, będę co dzień pisywać do ciebie, a ty mi odpowiesz, dobrze?
— Nie dziecko, ja ci odpowiadać nie będę, ale droga moja Elizo postaraj się być rozsądną.
Zegar wydzwonił 7-mą— i znana piosenka ozwała się. Zwykle odchodziłam wtedy do domu, ale tego dnia nie mogłam rozstać się z wujem.
Rozmawialiśmy jeszcze długo, słuchałam chciwie jego mądrych rad i przestróg.
W końcu trzeba się było pożegnać.
Z jakąż boleścią w sercu opuszczałam mego dobrego, drogiego wuja Rudolfa!
Nazajutrz przy pożegnaniu z rodzicami rzekłam do ojca:

— Mówiłam ci ojcze, że mogę stać się nieposłuszną. Odwiedzałam w dzień wuja Rudolfa.
Ojciec nic nie odpowiedział.
W Paryżu trafiłyśmy na karnawał.
Ciotka moja, kobieta światowa, stroiła mię i woziła na bale i koncerty, na proszone obiady i do teatru. — Mówiono, żem ładna, więc na zabawach nie brakło mi tancerzy..
A jednak zabawy i widowiska nie zajmowały mnie. Największą przyjemnością było dla mnie pisanie listów do wuja Rudolfa. Spowiadałam mu się ze wszystkich wrażeń i przeżyć.
Karnawał minął. Pozwolono mi wracać do domu. Z radością wybierałam się w drogę.
Po kilku dniach podróży przybyłam do domu. Rodzice powitali mnie serdecznie, ale na twarzach ich zauważyłam smutek i jakby zmieszanie.
Serce mi się ścisnęło niedobrym przeczuciem.
— Jak się miewa wuj Rudolf? — spytałam.
Rodzice spojrzeli na siebie i nie zaraz ojciec odpowiedział:
— Smutną wiadomość muszę ci oznajmić: hrabia Rudolf nie żyje.
Nie zrozumiałam na razie.
Wuj Rudolf nie żyje? — To być nie może! To ktoś inny!
Nagle świadomość przeszyła mi serce: wuj Rudolf, ukochanie moje nie żyje!
Zerwałam się z krzesła i zawoławszy: — Niech nikt nie idzie za mną! — wybiegłam z pokoju i z domu.
Jak się dostałam do domu wuja — nie wiem. — Fryderyk spotkał mię u progu i otwierał drzwi przede mną. Jak we śnie szłam za nim aż do tego pokoju.
Obejrzałam się dokoła.
— On tu jest! On tu być musi!
Wzrok mój padł na ścianę nad otomanę. Zamiast zasłoniętego portretu żony wuja — patrzały na mnie dobre, kochane oczy wuja Rudolfa.
Upadłam na kolana i wyciągnęłam do niego ręce.
— Wuju! wuju Rudolfie! To nieprawda, że ty nie żyjesz! — wołałam głośno.
Łagodne oczy wuja patrzały wciąż na mnie.
Mimo woli przeniosłam wzrok na drugi obraz. To byłam ja, malowana kochającą ręką. Tak malować mogła tylko miłość.
Wiedziałam, że wuj malował. Więc to dla mnie! O wuju!
Na biurku stał krucyfiks, otoczony wieńcem białych róż. — Pod nim testament wuja, czyniący mnie jego spadkobierczynią. Obok listy moje ułożone podług dat, a przy każdym odpowiedź kreślona jego ręką. — Wuju! wuju!
Nagle tęsknota porwała mię, jak wicher: Wybiegłam z domu, a widząc przed nim karetę pocztową, w której przyjechałam — wskoczyłam do niej i kazałam się wieźć na cmentarz.
Cudem czy instynktem odnalazłam biały marmurowy krzyż ze złotym napisem: „Tu leży hr. Rudolf X."
Upadłam na kolana i drogi grób objęłam rękoma.
— Wuju Rudolfie, weź mnie do siebie! Chcę umrzeć i być pochowaną przy tobie! Weź mnie do siebie !— wołałam.
Rozgrzebywałam śnieg nie czując, że mróz mnie przenika..
Straciłam przytomność.
Pocztylion, nie mogąc się mnie doczekać — pojechał do domu rodziców i zaalarmował ich.
Ojciec przybył na cmentarz.
Zabrał mnie nieprzytomną z grobu i przywiózł do domu.
Długie tygodnie leżałam bez przytomności i długie tygodnie śmierć krążyła nade mną.
Wreszcie młodość i silny organizm zwyciężyły.
Odzyskawszy przytomność — zażądałam zwierciadła. — Odmawiano mi pod rozmaitymi pozorami.
Na koniec musiano mi je dać.
Spojrzałam i...
To mówiąc, ciotka Eliza wstała i zdjęła czepeczek, a włosy pokryły ją, jakby płaszczem.
Krzyknęłam tak, jak niegdyś Konstancja. — Włosy ciotki były białe jak śnieg alpejski, jak włosy stuletniej staruszki.
Zakryłam oczy rękami, a gdym je po chwili odsłoniła — ciotka Eliza siedziała obok mnie, piękna jak zawsze i w czepeczku na głowie.

# RAJ KOBIET




**W 61 107** Wzorzysta nocna koszulka krojem zbliżona do modeli sukien wieczorowych.
**W 61 108** Nocna koszulka z jedwabiu w groszki o charakterze sportowym.
**W 61 106** Nocna koszulka z jednobarwnego jedwabiu do prania. Górna partia ozdobiona drobnymi zakładkami. Rękawy długie.
Kroje nabyć można w naszej administracji w cenie 1 zł za sztukę.

## *Martwy sezon*

Są takie okresy w modzie, które się zwą martwym sezonem. W tym czasie maszyny krawieckie zdają się wydawać mniej nerwowy, pospieszny szczęk, igły migają w rękach nawykłych do tempa z mniejszą jakby szybkością, choć z równą zręcznością, a gwar w pracowniach krawieckich, w szwalniach i szwalenkach jest nieco wzmożony. Pracownice mogą odetchnąć i pogwarzyć trochę, bo mistrzyni mody damskiej nie goni ich tak, jak w środku sezonu, nie rzuca tylu gwałtownych, surowych wskazówek i napomnień, bo sama jest mniej oblegana i przynaglana do pośpiechu przez niecierpliwe klientki. Praca jest, a jakże, bo w dobrym zakładzie jest ona zawsze, ale tempo jej mimo wszystko nieco zwolniało, przycichło.

Maszyny terkocą, bo terkocą, ale z mniejszą zaciętością, igły są mniej ostre i skłonne do kłucia omdlałych palców, w powietrzu nie ma tego elektrycznego naładowania, grożącego burzą wymówek szefowej, tego drżenia rąk z pośpiechu, nagłych a nieprzewidzianych tragedyj, tych nieoczekiwanych „coups de foudre" w rodzaju przecięcia delikatnej materii, przepalenia żelazkiem białej krepy lub poplamienia delikatnej gazy — nie wiadomo już w jaki sposób!...

Wszystkie pracownice oddychają z ulgą, a kto wie, czy nie udziela się to i przedmiotom martwym.

Z ulgą oddychają także wszystkie elegantki. Weźmy na przykład taki okres przedwiośnia. Panie ze spokojem noszą garderobę skompletowaną w zimie i jakoś nie chce im się jeszcze myśleć o modelach wiosennych.

U nas przedwiośnie jest takie kapryśne! Rano wita nas mokrym, rozciapanym śniegiem, w południe rozpromienia się namiastką słońca, aby po południu siać kapuśniaczkiem lub zgoła rozpadać się w nie tyle czysty, ile rzęsisty deszcz. A czasem przez noc potrafi zaśmiać się, jak na ironię rzeźwym, zdrowym mrozikiem, a rano lub w najlepszym razie w południe znowu pokazać nam języki deszczu, aby za chwilę błysnąć promieniami słońca zza chmur i wołać w błazeńskim rozbawieniu „a kuku"!

I byłybyśmy dziecinne, gdybyśmy chciały przejmować się jego zmiennymi humorami, zamiast odkrzyknąć mu wesoło „a kuku"! i przestać się nim interesować.

No dobrze, pomyśli sobie niejedna z czytelniczek, ale przecież przedwiośnie się skończy, a nastanie wiosna i my nagle staniemy przed nią w podniszczonym rynsztunku zimowym. Skądże — odpowiadam — nasza wiosna aż nadto często zapatruje się na swego siostrzana — przedwiośnie i mami z równą wprawą ciągle zmienną, nieutemperowaną aurą. Starczy nam na pewno czasu do przygotowania kostiumów wiosennych. A tymczasem zwróćmy całą naszą uwagę i pomysłowość na tę część naszej garderoby, w której nie ma sezonu martwego, a którą często zaniedbujemy.

Jest nią bielizna. Prawdziwa elegancja nie kończy się na doborze okryć wierzchnich, lecz z równą finezją wypowiada się w bieliźnie. Dawno minęły już czasy białych nakrochmalonych płócien głównie predestynowanych do szycia bielizny. Dziś bieliznę szyje się z najpiękniejszych, najdelikatniejszych kolorowych tkanin jedwabnych, od atłasu począwszy, a na tiulu skończywszy. Ba! Nawet w złym guście jest noszenie bielizny płóciennej. Co najwyżej można jeszcze stolerować batysty, ale i te w możliwie najlepszym gatunku, o pięknych pastelowych barwach, czy też delikatnym deseniu.

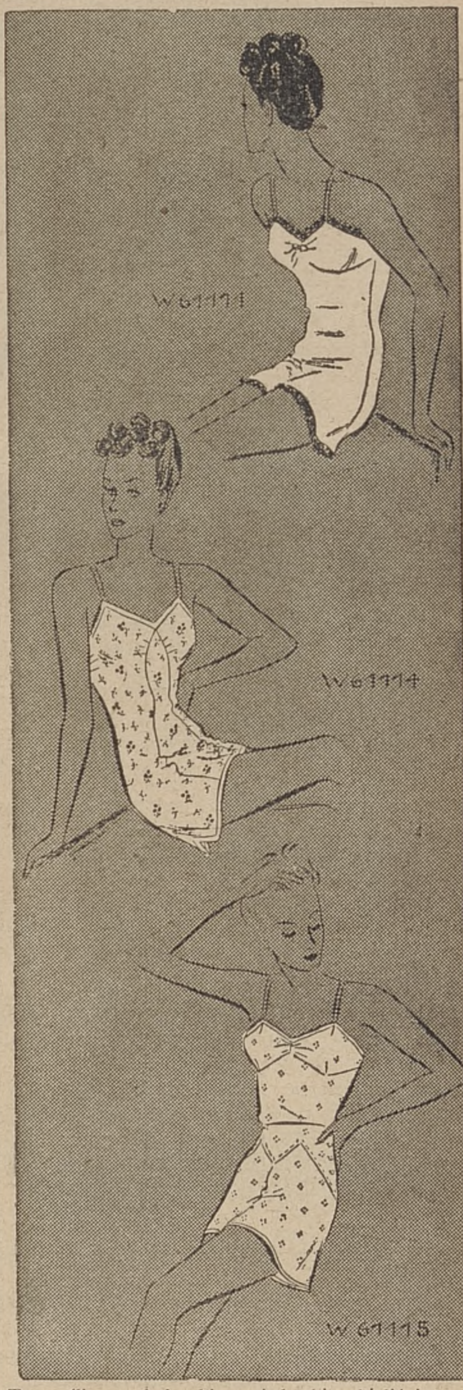
Na ogół eleganckie panie używają na bieliznę specjalnego jedwabiu bieliźnianego, który można otrzymać w lepszych i gorszych gatunkach po cenie mniej lub więcej dostępnej.

Staniczki o wiedeńskich fasonach nosi się w zimie z tegoż jedwabiu, a w lecie z tiulu. Pasy z podwiązkami zimą atłasowe, zaś w lecie azurowe. Tak samo kombinacje i kompleciki (koszulka i majteczki) w lecie najchętniej nosi się z materiałów ażurowych, jak koronki i jedwabne trykoty. Te ostatnie są dziś tkane w przepiękne desenie, ażury i na dodatek ozdabiane subtelnymi haftami.

Haleczki szyje się z materiałów miękko układających się na figurze, podatnych na modelowanie, krój ich zależny jest od sukni, pod którą będą noszone. Natomiast na spody pod suknie wieczorowe z materiałów przejrzystych, jak tiule, koronki używa się często materiałów sztywnych: organdi, tęczowe mory — zwłaszcza, gdy krój sukien jest stylowy, wąski w talii i poszerzany ku dołowi.

W zimie najodpowiedniejsza jest bielizna trykotowa wełniana i bawełniana. Kto nie znosi dotknięcia wełny, może zastąpić trykoty wełniane, trykotami jedwabnymi, przerabianymi wełną, fil d' ecossem lub bawełną w ten sposób, że warstwa jedwabiu znajduje się pod spodem i na wierzchu. Ma to tę zaletę, że bielizna jest ciepła, a nie gryzie — jak się to popularnie mówi — a suknia nie zaczepia się i nie opiera nieprzyjemnie, co się zdarza na bieliźnie z wełny.

Nocne koszulki odznaczają się ostatnio krojem wymyślnym, wzorowanym na sukniach. Są więc koszulki o cechach sukien sportowych, a także wieczorowych (modele podaję). Używa się na nie wymienionego już jedwabiu bieliźnianego, gładkiego lub w różne desenie,




Trzy śliczne haleczki z jedwabiu bieliźnianego z odpowiadającymi im komplecikami. Kroje nabyć można w naszej administracji w cenie 1.50 zł za sztukę.
**W 61 111** Kombinacja z jednobarwnego jedwabiu przybrana tiulem w kolorze kontrastowym.
**W 61 114** Piękna w kroju kombinacja z jedwabiu do prania w kwietne motywy.
**W 61 115** Komplecik z jedwabiu w deseń ściśle dopasowany do figury.
Kroje powyższe nabyć można w naszej administracji w cenie 1 zł za sztukę.

K 36353



GW 36350





GW 36356



GW 36348

**K 36 353** Młodociany porannik, zapinany z przodu na długi rząd guzików, dopasowany do figury. Jego charakter ściśle sypialniany podkreśla długość i krój — cechy nocnych koszul.
**GW 36 348** Ciepła piżama z kolorowej flaneli, wykończona flanelką w innym odcieniu.
**GW 36 350** Piżama z kwiecistego jedwabiu do prania z krótkimi rękawkami.
**GW 36 356** Piżama jednoczęściowa o fasonie koszulkowym.
Kroje powyższe nabyć można w naszej administracji w cenie 1.20 zł za sztukę.

rzuciki i groszki, a także opalów i batystów. Ponadto modne też jest ozdabianie koszul kolorowym haftem we wzory geometryczne, stylizowane kwiatuszki itp.

Szlafroczki wchodzą po części w zakres bielizny, a ostatnio przeżywają swój renesans po długiej hegemonii wszelakich i przeróżnych w kroju i desniu piżam. Rzecz inna, że do takiej, jak niegdyś niepodzielności w zmiennych gustach pań nie doszły, bo brużdżą im zawsze jeszcze piżamy, a ponadto obecnie bardzo modne suknie domowe.

Dziś szlafroczek uznawany jest tylko w obrębie sypialni i to w porach najranniejszych, późnym wieczorem, gdy pani przygotowuje się do kompieli no i w dniach poważnej niedyspozycji zdrowotnej.

Poza tym elegancka pani króluje w swym home w sukienkach domowych, o innym fasonie w ciągu dnia i innym w godzinach wieczorowych.

Bardzo wskazanym byłoby mieć takich sukien kilka.

Sukienki domowe dzienne szyje się zazwyczaj z materiałów jasnych, łatwych do prania i najchętniej jednokolorowych, aby się szybko nie opatrzyły. W lecie można sobie pozwolić na deseniowe kretony, które w ostatnich czasach wychodzą w coraz lepszych gatunkach i nie mają już dawnej wulgarnej tonacji nieszharmonizowanych barw.

Suknie domowe z przeznaczeniem na wieczór różnią się biegunowo od dziennych krojem i gatunkami materiałów. Szyje się je z welnetów, aksamitów, welourów, a nawet brokatu i lamy. (Tu trzeba pamiętać, że zbyt bogate te szaty muszą mieć odpowiednio bogatą ramę i w skromnie umeblowanym wnętrzu nie można ich nosić bez narażenia się na opinię złego gustu lub nawet na śmieszność — ja tu wspominam o nich raczej z obowiązku informatorskiego). Suknie te sięgają do ziemi, są obcisłe w talii z poszerzeniem ku dołowi i są zapinane z przodu na długi rząd guzików.

Ale wróćmy jeszcze do poranników. Na zimę poranniki winny być ciepłe o długich rękawach.

Szyje się je z jedwabi pikowanych w jednym lub dwóch kolorach. Modne też są materiały błyszczące, jedwabne, po wierzchu jakby stebnowane, a pod spodem zaopatrzone w flanelkę. (kolorowa).

Fason najbardziej uznawany płaszczowy, wiązany w talii sznurem, paskiem o kroju szarfy lub zapinany z boku. Może być z kieszeniami lub bez, stosownie do upodobań właścicielki szlafroka. Ozdobę stanowi stebnowanie lub wykończenie odcieniem danego albo zgoła odrębnego koloru.

Jak z powyższego wynika, bielizna modnej pani wymaga tej samej czujnej uwagi, co wszystkie inne akcesoria jej stroju.

Niech na należyte skompletowanie modnej, a przede wszystkim gustownej bielizny posłuży paniom ten tak zwany martwy sezon.

*Mirania Galińska.*

# Ewa

(Nowela)

Strasznie dziwnie zaczęło się to wszystko...

— — — — — — — —

Było ślicznie rozsłonecznione popołudnie październikowe. Drzewa złociły się w słońcu koronami żółknących liści i srebrzyły nitkami babiego lata. Liście strącane delikatnymi podmuchami wiatru, kołowały figlarnie w powietrzu i opadały lekko na ziemię, układając się w barwny, wzorzysty kobierzec.

Wokół panowała jakaś senna, kojąca cisza. Upajała ta cisza, jak narkotyk; obezwładniała rozum, nie pozwalała myśleć. Jak opium zasłaniała oczy mgłą marzeń..

W takie popołudnie spotkałem Ewę w Łazienkach.

Siedziała na ławce i głowę przechyliła w tył, jakby chciała wchłonąć w siebie ostatnie, ciepłe promienie jesiennego słońca. Jasne włosy rozsypały się dokoła jej głowy złotą falą i spadły na ramiona. Wyglądała ślicznie. Zdawało się, że spi, gdyż oczy miała przymknięte.

— Dzień dobry pani!

Drgnęła przestraszona i zerwała się z ławki.

— Dzień dobry — ależ się przestraszyłam — odpowiedziała.

— Dlaczego, panno Ewo? Czy jestem taki straszny?

— Ależ nic podobnego... Tylko tak jakoś... A zresztą nie wiem sama dlaczego.

Usiadłem obok niej. Była zmieszana. Nic dziwnego. Znaliśmy się przecież bardzo mało. Tańczyłem z nią kilka razy na balu politechniki i stąd cała znajomość. Było to zresztą już dawno, w karnawale. Nie interesowałem się nią wtedy bliżej, nie wiedziałem nawet, jak się nazywa. Imię powiedziała mi sama.

Teraz ciekawie przyglądałem się jej. Zarumieniła się pod wpływem tego spojrzenia i spuściła oczy. Wyglądała bardzo milutko z tym zmieszaniem na twarzy.

— Ale to dzieciak — pomyślałem. I rzeczywiście miała takie dziecinne, bezradne usteczka, i strasznie smutne oczy.

Żal mi się jej zrobiło. Objąłem ją delikatnie i pocałowałem. Nie broniła się wcale; przytuliła się do mnie i oddała pocałunek. Podniosła tylko na mnie zdziwione oczy i powiedziała:

— Przecież my się wcale nie znamy. Pan nie zna nawet mojego nazwiska, ani ja pana...

— Czyż to konieczne, panno Ewo? — odparłem z uśmiechem.

— Ależ!... A zresztą może pan ma i rację. Proszę jednak powiedzieć mi przynajmniej swoje imię.

— Bolesław.

— Bolek, Bol... Czy można mówić na pana „Bol"? — zapytała.

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się tylko do niej.

— — — — — — — —

Widywaliśmy się odtąd codziennie.

Było nam dziwnie dobrze ze sobą. Chodziliśmy na spacery daleko za miasto, zdala od tłumu ludzi i hałasu śródmieścia. Brnęliśmy z ciekawością w nieznane i jak dwoje dzieci cieszyliśmy się z jakiegoś odkrycia. Świat wydawał się nam dziwnie jasny i radosny.

Gdy byliśmy zmęczeni i nie chciało się nam iść daleko, schodziliśmy Karolową i Ślimakiem nad Wisłę i oparci o balustradę patrzyliśmy na przepływające statki.

Ewa wtedy marzyła „jak to my kiedyś popłyniemy statkiem, ale nie takim małym, jak na Wiśle, tylko wielkim o czterech kominach, w daleką podróż, przynajmniej dookoła świata". Podniosła na mnie wtedy rozradowane oczy i przytulała się mocno do mego ramienia. Nic nie odpowiadałem na te jej rojenia o przyszłości, tylko gładziłem jej włosy. Udawała wtedy, że się gniewa i odsuwała się ode mnie.

— Głaszczesz mnie po głowie tak, jakbym była małą dziewczynką — mówiła.

— Przecież jesteś dzieciakiem...

— A właśnie, że nie, bo mam już osiemnaście lat — dąsała się, ale nie trwało to długo.

Ewa powiedziała mi już wszystko o sobie. Była bardzo biedna. Matka jej mieszkała w Poznaniu. Ona skończyła gimnazjum i nie mogła znaleźć pracy. Dopiero tutaj w Warszawie dostała posadę przy pomocy znajomych Pracowała w jakimś biurze. Gdy zapytałem ją w jakim, zmieszała się i nie wiedziała co odpowiedzieć. Ale zaraz opanowała się i odparła:

— Czy to ci potrzebne, Bol?

Zarabiała bardzo mało i połowę z tego musiała posyłać matce do Poznania. Żal mi jej było serdecznie, gdy to mówiła. Dziwiło mnie tylko, skąd bierze pieniądze na takie eleganckie stroje. Nie chciałem robić jej jednak przykrości i nie pytałem o to.

Przyszła zima. Skończyły się nasze spacery. Spotykaliśmy się odtąd w małej cukierence na Wilczej i odgrodzeni od sali palmą, spędzaliśmy na rozmowie kilka godzin.

Czasem, gdy był ładny, mroźny wieczór, jechaliśmy tramwajem za miasto i tam biegaliśmy po śniegu, jak dwoje dzieci. Musiałem potem otrzepywać Ewę ze śniegu i rozgrzewać jej zmarznięte ręce. Śmiała się przy tym radośnie, a raz powiedziała:

— Wiem, Bol, teraz ja jestem małą dziewczynką, a ty moim tatusiem. — Ale stropiła się zaraz.

— Ech, nie chciałabym, żebyś był moim tatusiem...

— Dlaczego? —spytałem.

— Bo... Bo... — Wyrwała mi ręce i odwróciła się cała zarumieniona.

— Jesteś niemądry, Bol. Zadajesz takie niedorzeczne pytania.

Odwróciła się znowu do mnie, podniosła główkę do góry i przymknęła oczy.

— Musisz mnie teraz przeprosić — szepnęła. Była śliczna w tej chwili.

Przebudzona wiosennym słońcem ziemia zrzuciła z siebie lodowe okrycie zimy. Ciepłe, orzeźwiające deszcze pozmywały z ziemi resztki zeszłorocznych liści i odsłoniły soczystą zieleń traw. Drzewa ustroiły się w jasną zieloność liści. Czekały uroczyście. I przyszedł z tryumfem, w aureoli promiennego słońca, przy wtórze radosnych świergotań ptaków, sprzymierzeniec zakochanych, królewicz maj.

Znowu chodziliśmy z Ewą na spacery.

Zmieniła się mocno. Była jakaś dziwnie smutna i wrażliwa.

Pewnego popołudnia siedzieliśmy w Łazienkach. Ewa była podniecona. Nie miałem pojęcia dlaczego. Opowiadałem jej właśnie coś, gdy przerwała mi w połowie zdania i rzuciła nie patrząc na mnie:

— Wiesz, dostałam list od narzeczonego.

Spojrzałem na nią zdziwiony, nigdy nie mówiła mi, że ma narzeczonego. Wyciągnęła list z torebki i podała mi go ze słowami:

— Masz, czytaj!...

Nie wiedziałem co zrobić, wtedy dorzuciła zniecierpliwiona:

— Ależ proszę cię, czytaj!

Powoli rozłożyłem list.

„Kochana Ewo!"

„Nie masz pojęcia, jak strasznie się cieszę, że nareszcie dostanę dyplom. Dzieli mnie od tego zaledwie kilkanaście dni. Ale cóż to wszystko znaczy w porównaniu z faktem, że teraz, jako człowiek z przyszłością, będę mógł się z tobą ożenić i nigdy..."

Nie czytałem dalej. Było mi dziwnie przykro. Ewa patrzyła badawczo na mnie i zapytała:

— No i cóż ty na to?

Cóż jej mogłem odpowiedzieć? Czyż mogłem jej powiedzieć, żeby odrzuciła tamtego, który ją kochał? Czyż miałem do tego prawo? Czyż mogłem burzyć jej przyszłość, nic w zamian nie dając od siebie? Bo cóż jej mogłem dać. Lubiłem ją bardzo, a może więcej nawet niż lubiłem, ale wiązać się z nią na całe życie nie mogłem. Ewa przecież była biedna, moi rodzice nigdy nie zgodziliby się na małżeństwo z nią, gdyż szukali dla mnie partii odpowiedniej do swego majątku. Gdybym postąpił wbrew woli rodziców i ożenił się z Ewą, cały ciężar utrzymania spadłby na moje barki. A czy umiałbym wywiązać się z tego zadania? Ewa jest przecież taka delikatna. Czyż nie miałaby później do mnie żalu, że zmarnowałem jej życie? Nie. Nie miałem prawa burzyć jej szczęścia.

Ewa cały czas obserwowała mnie uważnie.

— Dlaczego nic nie mówisz — zapytała.

Cóż jej miałem odpowiedzieć. Wzruszyłem bezradnie ramionami.

— A więc nic mi nie masz do powiedzenia? — usta jej zadrgały boleśnie, oczy zaszły łzami. — Nic, zupełnie nic? — szepnęła. Jak kwiat podcięty przechyliła się i głową opadła na moje kolana. Ciałem jej wstrząsało szlochanie.

Ileż dałbym wtedy za to, żebym mógł ją uspokoić, żebym mógł jej pomóc. Ale cóż mogłem zrobić.

Gładziłem ją, jak małą dziewczynkę pieszczotliwie, delikatnie po włosach. Uspakajała się powoli.

Uniosłem delikatnie w górę jej główkę. Spojrzała na mnie przez łzy.

— Och Bol, Bol... — szepnęła.

Pochyliłem się nad nią i chciałem ją ucałować jej zapłakane oczęta. Szarpnęła się gwałtownie i odsunęła ode mnie.

— Nie, Nie, Bol! Nie chcę — krzyknęła nerwowo.

Otarła oczy z łez, przypudrowała trochę policzki.

— Chyba pójdziemy już? — zapytała.

Wstaliśmy. Cały czas szła milcząc. Nie starałem się nic mówić do niej, ani pocieszać, bo przecież zakrawało to na ironię.

Obserwowałem ją. Jakże się zmieniła. Cała dziecięcość, cała beztroska zniknęła z jej twarzy. Nie zostało po niej śladu. Obok mnie szła już nie młoda dziewczynka, ale dojrzała kobieta.

Tak doszliśmy do domu, gdzie mieszkała.

— Wejdź do mnie na chwilę — rzekła Ewa.

Spojrzałem na nią zdziwiony, nigdy nie prosiła mnie do siebie, a dzisiaj...

— Ależ...

— Bardzo cię proszę, Bol, zrób chociaż to dla mnie —prosiła. W oczach jej zaświeciły znowu łzy.

Zdecydowałem się. Drzwi otworzyła nam służąca i obrzuciła mnie zgorszonym wzrokiem. Było mi już wszystko jedno. Weszliśmy do pokoju Ewy. Był śliczny. I znowu nasunęło mi się pytanie: „Skąd Ewa może pozwolić sobie na taki zbytek?"

Ona tymczasem zdjęła kapelusz i poprawiała włosy przed lustrem.

— Czemu nie zdejmujesz płaszcza, Bol? — zapytała przez ramię.

— Przecież zaraz pójdę — odparłem.

— To nic nie szkodzi. Zdejmij chociaż na chwilę, chwileczkę — prosiła. Stanęła blisko mnie i patrzyła mi w oczy.

Nie mogłem oprzeć się jej prośbie. Zostałem...

Zostałem dłużej, niż należało.

— — — — — — — — — —

Następnego dnia byłem już zdecydowany.

Wiedziałem, że kocham Ewę i że ożenię się z nią. Było mi lekko i radośnie. Odrzuciłem wszystkie skrupuły. Co tam rodzice! Jeśli nie zgodzą się to nic; dam sobie radę sam bez ich pomocy. Przecież jestem młody, w pełni sił, cały świat stoi przede mną otworem.

Postanowiłem zaraz napisać do rodziców i donieść im o swoim postanowieniu. Tymczasem czekałem z niecierpliwością godziny spotkania z Ewą. Mieliśmy spotkać się jak zwykle po południu o 17-tej.

Ewa nie przyszła.

Jakieś złe przeczucie ścisnęło mi serce. Czekałem jeszcze godzinę — nie przyszła.

— Ach, jakiż jestem naiwny. Napewno zastanę ją w domu — pocieszałem się. Uczepiłem się tej myśli, jak ostatniej deski ratunku. Wskoczyłem w taksówkę i podałem szoferowi odres.

— Tylko prędko — dorzuciłem. Szofer jechał jak wariat, mnie się zdawało, że to wólno. W końcu byłem na miejscu. Otworzyła mi drzwi ta sama służąca. Patrzyła na mnie nie tylko z niechęcią, ale poprostu z gniewem. Nie zwracałem na to uwagi.

— Czy zastałem pannę Ewę? — zapytałem.

— Panna Ewa wyjechała dziś rano — niezbyt uprzejmym tonem odparła służąca.

— Czy nie powiedziała, dokąd jedzie? Nie zostawiła dla mnie listu lub adresu? — łudziłem się jeszcze.

— Nic nie zostawiła, a jeśli pan chce wiedzieć prawdę, to specjalnie zaznaczyła, żebym nie ważyła się powiedzieć panu, dokąd wyjechała — ze złością już rzuciła służąca i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Nogi ugięły się pode mną. Jak pijany, wyszedłem na ulicę.

Świat wydawał mi się szary i beznadziejny po mimo słońca i zieleni. Przecież był maj w rozkwicie. Miesiąc miłości.

Jak chory powlokłem się do domu.

— — — — — — — — —

Minęło od tego czasu dwa lata.

Pewnego dnia matka pokazała mi ilustrację w jakimś poznańskiem piśmie.

— Popatrz, to byłaby śliczna żona dla ciebie — rzekła — i bogata — dodała.

Obojętnie wziąłem ilustrację do ręki, cóż mnie obchodziła jakaś bogata panna. Nagle krew uderzyła mi do twarzy.

— Ewa, Ewa — szeptałem.

Pod fotografią umieszczona była krótka wzmianka:

„Wczoraj odbył się ślub p. Ewy Narewskiej, córki znanego w Poznaniu przemysłowca z bardzo uzdolnionym inżynierem p. Jerzym Rawickim. Zaraz po ślubie młoda para wyjechała na Riwierę."

Teraz zrozumiałem wszystko. Wiedziałem już, dlaczego w opowiadaniach Ewy tyle było niejasności, dlaczego nie chciała powiedzieć, gdzie pracuje, skąd miała pieniądze na eleganckie stroje i zbytkownie urządzone mieszkanie. Ewa chciała mnie wystawić na próbę.

Szczęście samo mi szło do rąk, a ja odepchnąłem je od siebie, jak głupiec.

— Głupiec ze mnie, straszny głupiec — szeptałem półgłosem. Matka zauważyła zmianę w mojej twarzy, i patrzyła zdziwiona.

— Co ci się stało? — zapytała.

— Ech, nic mamo — odparłem.

— — — — — — — — —

Strasznie dziwnie skończyło się to wszystko.

Ruda Pabian., maj 1938 r.

*„Wiryt"*

## KONIKÓWKA

ul. Witold Mataczyński, Łysinin.

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | wła | je | go | i | wio | kto | |
| | re | bro | snej | szcze | pier | zło | |
| | gi | we | si | to | pró | see | |
| | sre | któ | gnio | przy | łę | czyć | |
| | tów | bo | go | nie | ju | żen | |
| U | tów | tą | mio | żne | się | do | na |

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

## FIGIEL REBUSOWY

ul. F. Gałecki. Czł. War. Kl. Szar.



Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku dn. 10 marca br.

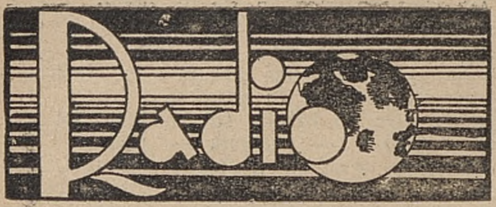
Rozwiązanie zadań z numeru 8 „Moich Powieści":

I. Kołówka: Karnawał.

II. Uzupełnianka: 1) Nikotyna 2) Panegiryk 3) Apeniny 4) Paganini.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Chmielec Wiktor — Warszawa, Czuma Ignacy — Pińsk, Jankowski Zygmunt — Poznań, Kamiński Wł. — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przyznano Jankowskiemu z Poznania i Chmielcowi z Warszawy.




**Niedziela, dnia 5 marca 1939 r.**

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z Warszawy 10.30 Muzyka z płyt 12.03 Poranek symfoniczny 13.15 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Robert Schumann: David Bündlertänze op. 6 17.00 „Jak pracuje teatr w Wilnie" — transmisja z życia 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.50 Gra Józef Szigetti (skrzypce) — koncert z płyt 21.20 Muzyka lekka w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. 21.50 Kukułka Wileńska: „Ballada o sześciu kucharkach" 22.20 Muzyka taneczna.

**Poniedziałek, dnia 6 marca 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Zespoły salonowe w repertuarze operowym (płyty) 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 „Mozart" — audycja dla gimnazjów 15.00 Audycja dla młodzieży: „Zaczarowany czerpak" 15.25 Muzyka obiadowa 16.35 Koncert solistów 17.15 Z wizytą u własnych dzieci — felieton 17.25 Koncert w wykonaniu orkiestry mandolinistów 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Muzyka lekka na różnych instrumentach — koncert 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert kameralny w wyk. Tria Póżniaka 21.55 „Dzieje symfonii" — audycja.

**Wtorek, dnia 7 marca 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Ballady — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 „Wszędzie jest życie — i na lodowcach" — pogadanka dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Sonaty skrzypcowe — koncert 17.15 „Dygasiński we Włoszech" — szkic literacki 17.30 Z pieśnią po kraju — audycja 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 21.00 Koncert symfoniczny z Wilna 22.00 „Przechadzki Ateńskie: O rzeźbach starogreckich" 22.25 Recital wiolonczelowy Sigrid Succo.

**Środa, dnia 8 marca 1939 cr.**

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Walce Józefa Straussa (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Nasz koncert — „W pokoiku Hani" — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa 17.15 Melodie Pokucia — audycja muzyczno-słowna 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Zasiłek czy praca" — dialog 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski 21.30 „P. A. L." — dialog radiowy — „Przy stoliku literackim" 22.00 Amerykański duet wokalny 22.30 Wolfgang Amadeusz Mozart: Symfonia A-dur nr. 29.

**Czwartek, dnia 9 marca 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek dla szkół powszechnych 11.25 Piosenki w wyk. Amelity Galli-Curci i B. Gigli 12.03 Audycja południowa 15.00 rozmowa technika z młodzieżą 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.20 „U rolnika" — audycja dla młodzieży licealnej 16.40 Utwory fortepianowe na cztery ręce 17.30 Grzegorz Gerwazy Gorczycki — audycja muzyczna 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Muzyka poważna i muzyka lekka — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Utwory Henryka Wieniawskiego — koncert 21.35 Określenie dobra moralnego — szkic literacki 21.50 Folklor różnych krajów — audycja muzyczna 23.05 Koncert muzyki polskiej.

**Piątek, dnia 10 marca 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Wiązanki na tematy operetkowe (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Na szerokim świecie — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Koncert solistów 17.20 Transmisja z Lasek 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Premiera słuchowiska — „Ojciec" 19.45 Koncert rozrywkowy 21.00 Chór Polskiego Radia 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.45 Muzyka z płyt.

**Sobota, dnia 11 marca 1939 r.**

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Lekkie miniatury fortepianowe i skrzypcowe (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci: bajka „O królewnie Kasi i o siedmiu krasnoludkach" 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 „Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich" — koncert 17.30 Duety Jana Brahmsa 17.50 „Gospodarstwo a wojna" — pogadanka 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert rozrywkowy z Wilna 21.00 Koncert rozrywkowy (transmisja z Domu Śpiewaków) 22.00 Koncert rozrywkowy z Londynu 22.40 Melodie taneczne.




## ZAGADNIENIE

Przed drapaczem nieba na placu Napoleona w Warszawie stoją dwaj wariaci.

— Stanowczo za wysoki! — odzywa się jeden.

— Tak, należałoby zburzyć jedno piętro! — mówi drugi.

— Słusznie, ale które?

## ŁADNA POCIECHA

— Pomyśl sobie, że ta plotkara Kazia rozpowiada wszystkim, że ja się szminkuję! — skarży się Wanda przed przyjaciółką.

— Nic sobie z tego nie rób. Dobrze jej mówić! Gdyby ona miała taką cerę, jak ty, toby się tak samo szminkowała!

## TO NAJSTOSOWNIEJSZY

— Proszę pana — zwraca się do sprzedawcy pani Pipsztycka — czy mógłby mi pan polecić jakieś odpowiednie dzieło dla mojej córki, która kształci się na śpieaczkę?

— Owszem, proszę pani. Oto jest dzieło pod tyt. „Dobry ton w każdej sytuacji życiowej".

## PIEKŁO DZIECI

Mały Karolek wraca z płaczem ze szkoły.

— Tatusiu — żali się, łkając — ten pan od arytmetyki tak się znęca nademną!... Ja już dłużej nie wytrzymam...

Oburzony ojciec bierze nazajutrz synka za rękę i idzie z nim do szkoły.

— Ależ, Karolku — mów nauczyciel — ja cię bardzo lubię, ale cóż robić, muszę stwierdzić, że rachunki idą ci bardzo niesporo. Czy możesz mi na przykład powiedzieć, ile to bedzie 60 podzielone przez 5.

Malec robi przerażoną minę.

— Widzisz, tatusiu, on znowu zaczyna!

## DOBRY EKSPERT

— No i co z tobą, ożeniłeś się z Elżunią?

— Już dawno z nią zerwałem. Przedłożyłem jej pismo ekspertowi grafologii, który wydał o niej druzgocący sąd. Musiałem się z nią rozstać.

— A co Elżunia zrobiła?

— Wyszła zamąż właśnie za tego grafologa.

## ONA TEGO NIE ZROBI

— Wyobraź sobie Karolku, że ta jędza Klara zrobiła wczoraj swojemu mężowi na ulicy straszną scenę za to, że wypalił jej papierosem dziurę w nowym płaszczu.

— Ty nie byłabyś do tego zdolna, mój skarbie.

— Naturalnie, że nie, bo od kilku lat nie mam nowego płaszcza!

## CZY TO NIE WYSTARCZA

— Dlaczego każesz mi uczyć się po angielsku, tatusiu?

— Mój synu, dzisiaj mówi po angielsku pół świata.

— No i cóż? Czy to jeszcze nie dosyć?

## MATRYMONIALNE

Do pana Kukułki przyszedł swat.

— Mam dla pana pierwszorzędną partię. Bogata, przystojna, wdowa mająca dorosłą córkę!

— Czy nie lepiej, żebym ożenił się z córką?

— Tego panu nie radzę. Miałby pan bardzo niedobrą teściową!

## TRUDNY DOWÓD

— Pan znał oskarżonego jeszcze w szkole, więc zna pan jego charakter. Jak panu wiadomo, jest on oskarżony o kradzież elektrycznego odkurzacza. Czy sądzi pan, że kolega pański byłby zdolny do tego?

— Trudno mi na to odpowiedzieć, panie sędzio, bo od czasu gdy opuściliśmy szkołę, minęło 40 lat, a wtedy nie było jeszcze elektrycznych odkurzaczy!

## TRZEBA WIEDZIEĆ JAK

Pan Duval zorganizował z dwoma przyjaciółmi i ich żonami wycieczkę samochodem w okolice Paryża. Na trzydziestym kilometrze p. Duval zwraca się dyskretnie do pana Dalais:

— Słuchaj-no, mój kochany Dalais. Jak wiesz, Durandowi powodzi się obecnie nie najlepiej. Może ty zapłacisz taksówkę, a ja śniadanie.

— Zgoda, drogi przyjcielu.

W kilka minut po tym Duvalowi udaje się szepnąć dyskretnie panu Durandowi:

— Słuchaj-no, kochany Durand, wiesz, że Dalaisowi nie powodzi się ostatnio najlepiej. Ja zapłacę taksówkę, a ty śniadanie. Dobrze?

— Ależ oczywiście, kochany przyjacielu.

## NIEDOPAŁKI

Jakiś dziadziuś chodzi po ulicy i zbiera do torebki niedopałki papierosów. Starszy pan przygląda mu się ze współczuciem. Jakiż to musi być z niego namiętny palacz! Podchodzi do staruszka, klepie go po ramieniu i wyjmując z kieszeni grubą papierośnicę, mówi:

— Proszę sobie wziąć całą garść papierosów.

Staruszek dziękuje, bierze kilkanaście sztuk i przygląda im się z uśmiechem.

— A teraz powiedzcie przyjacielu czy zbieranie niedopałków opłaci się wam?

— E, panoczku, zbieranie niedopałków wcale mi się nie opłaci, ale przy tym znajduje się zawsze jakiś dureń co mi da całego papierosa. Dziękuję wielmożnemu panu — i poszedł dalej.

## NA SZCZYCIE TEORII

Profesor: — Jeżeli więc obejmujemy cyfrą krajową produkcję cegieł w bieżącym roku, to wyniesie ona 5 miliardów sztuk, czyli że na głowę wypada 75 cegieł rocznie!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.



Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.